TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM IV.

WARSZAWA.

1839.

2

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

ZŁOTA DONICZKA.

(Powieść fantastyczna E. T. A. Hoffmana.)

WIECZÓR PIERWSZY.

Przygoda ucznia Anzelma.—Knaster zdrowia rektora Paulmann.—Węże złocisto-zielone.

W dzień Zielonych świątek, po południu o godzinie trzeciéj, młody jeden człowiek przebiegał przez czarną bramę w Dreznie i wpadł na koszyk z jabłkami i ciastkami, które sprzedawała

stara baba, brzydka jak czarownica. Ciastka na nie się pogniotły, a jabłka się na wszystkie strony potoczyły, i zostały zdobyczą wrzaskliwéj hołoty ulicznéj, korzystającéj z zbytecznéj owego młodzieńca prędkości. Na krzyk staréj, powstawały od straganów wszystkie jéj towarzyszki, otoczyły młodego człowieka, i zaczęły nań miotać miljony wyrazów obelżywych, w które tylko przekupki zwykły obfitować. Spłoszony młodzieniec, oniemiał z zawstydzenia i gniewu, nie widział jednakże innego środka ocalenia, jak oddać skromnie napełniony swój woreczek, który stara chciwie porwała i natychmiast do kieszeni wsunęła. Dopiero oblegające go koło rozstąpiło się, z którego gdy się młodzieniec oddalał, stara wołała jeszcze za nim: Tak, tak, biegaj, synu szatana, wpadniesz ty w kryształ! *)

Głos, a raczéj skrzeczenie staréj, miało w sobie cóś przeraźliwego; przechodzący zatrzymywali się zdumieni, śmiechy jednym razem ucichły. Uczeń Anzelm (on to bowiem był), cho-

*) Jest to rodzaj przekleństwa używany od niemieckich przekupek, który właściwie w naszym jezyku odpowiada: „żebyś skamieniał.“ Ponieważ rzecz niniejsza wymagała aby tu użyć wyrazu kryształ (który w niniejszéj powieści gra swoją rolę,) przeto zdawało mi się to objaśnienie potrzebném. (Tłómacz.)

ciaż żadnego znaczenia nie przywięzywał do odgróżek staréj, uczuł mimowolne wstrząśnienie; już niebiegł, aby uniknąć spojrzenia ciekawych, ale przeciskał się raczéj z trudnością pomiędzy świątecznie wystrojoném pospólstwem, z pośród którego słyszał odzywające się głosy: „Biedny młodzieniec!...oh! ta przeklęta baba!

Tajemnicze słowa staréj, nadały téj śmiesznéj scenie, obrot, że tak powiem, niejako traiczny, do tego stopnia, że już śledzono wzrokiem pełnym zajęcia, kroki młodego człowieka, na którego dotąd nikt najmniejszéj uwagi nie zwracał. Kobiety, pełne pobłażania dla jego twarzy regularnie pięknéj, cokolwiek gniewem ożywionéj, i składu ciała silnego, wymawiały go z jego niezręczności, a nawet z ubioru, przedstawiającego zupełne wyłamanie się z pod praw mody. Frak jego stalowo-popielaty, był takiego kroju, jak gdyby krawiec tylko ze słyszenia wiedział o tegoczesnéj modzie, a spodnie czarne manszestrowe, obcisłe i nie dostatnie, nadawały mu postawę pedagogiczną, zupełnie będącą w sprzeczności z jego ruchem i chodem.

Uczeń doszedłszy do końca alei prowadzącéj do łazienek Linka, nie mógł już tchu złapać, zwolnił przeto kroku, ale jeszcze nieodważył się podnieść oczu, albowiem wyobraźnia jego z każ-

déj strony ukazywała mu porozrzucane jabłka i ciastka, a uśmiech przychylny młodych dziewcząt, brał za szyderstwa djabelskie z pod czarnéj bramy. Doszedł nareszcie do drzwi łazienek Linka, przez które przesuwały się jedno po drugiém, grona towarzyskie w świątecznych ubiorach. Wewnątrz odzywała się muzyka na instrumentach dętych, a ciżba wesołych gości coraz bardziéj się powiększała. Biednemu uczniowi Anzelmowi łzy w oczach stanęły, kiedy sobie pomyślał, że dzień zielonych świątek był dla niego zawsze dniem szczególnéj uroczystości. Na ten cel, chcąc mieć udział w uciechach raju Linka, postanowił zwiększyć zwyczajny swój wydatek aż do kupienia sobie pół filiżanki kawy z rumem; i butelki piwa dubeltowego, włożył zatém do kieszonki więcéj pieniędzy niżeli należało, i rozumiał że się uraczy przyzwoicie; gdy jednym razem, upadek jego na koszyk z jabłkami i ciastami, pozbawił go całéj gotówki jaką miał przy sobie. Tym sposobem adieu kawa, adieu dubeltowe piwo, muzyka, ładne oczki wystrojonych dziewcząt,,...słowem adieu wszystkie uciechy spodziewane. Jak cień żyjący otarł się tylko około drzwi, i samotną drogą udał się na brzeg Elby.

Pod bzem rosnącym zewnątrz muru ogrodu Linka, znalazł siedzenie przyjemne zdarni, zajął je więc i nałożył fajkę knastrem zdrowia (Gesundheits-Kanaster) który dostał od rektora Paulmann. Przed nim złociste wały Elby pluskały o brzeg, za rzeką lekkie i wysmukłe wieże miasta Drezna wznosiły się poważnie nad horyzont, który w dali zakończony był kwiecistą łąką i lasami rozzielenionemi. Jeszcze dalej za mgłą, przebijały się zębate wierzchołki gór Czeskich. Lecz kiedy nasz uczeń Anzelm zwrócił oczy około siebie, ścigając gęste kłęby dymu tytuniowego, natenczas powracał do złego humoru i zawołał:

— Jednak to musi być prawdą, że ja się nato urodziłem, aby doświadczać wszystkich przeciwności i utrapienia! Jeszcze mi się nie zdarzyło nigdy zostać marszałkiem grochowym, czy do pary czy nie do pary, zawsze niezgadłem; mój sucharek, jeżeli upadnie na ziemię to zawsze stroną masłem posmarowaną. To są przeciwności, o których nie warto nawet wspominać, ale czyż to nie jest okrutną fatalnością, że na przekorę djabłu rogatemu, zostawszy uczniem, nie mogłem

nigdy przestać być *kümmel-türke?* *) Nie wdzieję nowéj sukni, żeby jéj zaraz pierwszego dnia niepoplamić łojem, lub o jaki gwoźdz nie rozedrzéć. Kłaniam się jakiéj damie, lub komukolwiek, już kapelusz z rąk mi wypada, albo co gorsze potknę się na gładkim bruku. Jeszcze jak byłem w Halli, regularnie w każdy dzień targowy, musiałem kilka dytków zapłacić za potłuczone garnki, a to wszystko dla tego, że w mojéj mózgownicy siedzi jakiś djabeł, i każe nieuważnie chodzić po warjacku. Czy też aby raz przyszedłem w sam czas na prelekcję, lub tam gdzie bywałem posyłany. Choćbym pół godziną naprzód przyszedł, i stał pode drzwiami trzymając za klamkę, niezawodnie za pierwszém zadzwonieniem, kiedy chciałem drzwi otworzyć, jakiś djabeł zleje mię z góry brudną wodą, alko potrącę kogo, tak że mam tysiąc sprzeczek na karku, i zawsze się muszę spóźnić.

Niestety! gdzieżeście marzenia pazyjemne o mojéj przyszłości, które mię kołysały pochlebną nadzieją, że się wykieruję na stopień

*) Cap, Lorbas, lub inny podobny ncinek używany pomiędzy uczniami.

tajnego sekretarza! Ale moja gwiazda przeklęta, zniechęciła moich najlepszych protektorów. Wiedziałem że tajny radca, nie lubi włosów krótko obciętych, a więc perukarz z wielką pracą przyprawił mi z tyłu głowy krótki ko, smyk. Cóż się dzieje, za pierwszym ukłonem nieszczęsna tasiemka się urywa, a mopsik, co mi się pod nogami kręcił, aportuje panu tajnemu radcy mój harcap. Rzucam się przelękniony za mopsem, i wpadam na biórko, przy którym tajny radca pracował i zarazem śniadał, filiżanka, talerz, kałamarz, piaseczniczka, wszystko przewraca się z łoskotem, a atrament na wyścigi z czekoladą leją się po biurku.—Mości panie, czy djabła masz w ciele? zawołał tajny radca i prawie pokazał mi drzwi.

Cóż mi z tego, że mi teraz rektor Paulmann obiecuje miejsce korzystne? czyliż moja nieszczęśliwa gwiazda, która mię nie przestaje prześladować, dozwoli mi osięgnąć ten cel? Ot i dzisiaj nawet...zamierzyłem sobie uroczyście obchodzić Zielone świątki, byłem nawet gotowy ponieść niejaką ofiarę, mogłem był, jak wielu innych zawołać z dumą w kąpieli Linka: ,,Garson, pro

szę o butelkę piwa dubeltowego, i to najlepszego;" mogłem był cały wieczór siedzieć, i to jeszcze w bliskości jakiego ładnego towarzystwa młodych dziewcząt cudownie postrojonych. O już ja wiem, nabrałbym więcej śmiałości, byłbym wcale inny, i zapewne, gdyby się która z nich zapytała: „która też teraz może być godzina? albo co to za arję grają? Jabym zaraz powstał swobodnie, bez przymusu, bez potknięcia się i wywrócenia ławki, postąpił półtora kroku naprzód, ukłonił się pięknie i powiedział: Za pozwoleniem, do usług pani, grają uwerturę z *Nimfy Dunaju*, albo też: Szósta godzina już minęła.—I, pytam się, czyby mi to kto wziął za złe?—Nie, zapewne, młode panienki spojrzałyby po sobie z figlarnym uśmiechem, jak to się zwykle zdarza, kiedy się odważę pokazać, że w potrzebie umiem sobie dać ton lekki, światowy, i nadskakiwać damom. Ale cóż, znów djabeł spłatał żem wpadł na koszyk z jabłkami, i teraz jestem oto przymuszony w samotności palić sobie mój ty...—W tém miejscu przerwany został monolog ucznia Anzelma jakiémciś szczebiotaniem czyli szelestem osobliwym, który zdawał się wychodzić z trawnika tuż obok niego, i podnosił się po gałęziach rozłożystych bzu

nad jego głowę. Zdawało się jak gdyby wietrzyk wieczorny poruszał łagodnie liśćmi. Potém niby ptaszęta igrały po gałązkach, i trzepotały skrzydełkami goniąc się. Potém, był to szmer i chichotanie, i zdawało się, że kwiaty na drzewie dzwonią jak dzwonki kryształowe. Anzelm słuchał....i słuchał. Aliści, sam nie wiedział jakim sposobem, ów szmer, chichotanie i dźwięk połączywszy się, utworzyły dźwięki miłe i słabiuchne, jakby na wpół wiatrem rozwiane.

Przesuńmy się—przejdźmy na gałęzie—ślizgajmy się po kwiatach, bujnie, lekko, razem.—Siostro miła, siostro luba, pław się wjasności,—prędko, wyżej,—niżej—Słońce wieczorne ciska swoje promienie, wietrzyk wieczorny szeleści roskosznie,—rosa błyszczy się—kwiatki wydają pienia....—Śpiewajmy, śpiewajmy moje siostry, razem z gałązkami.—Niezadługo gwiazdy się ukażą, potrzeba zejść na dół— przesuńmy się—przéjdźmy siostry—bujnie—lekko—razem.

Tak się odzywał ciągłe szmer czarowny, a uczeń Anzelm myślał sobie: a jednak to wszystko nic innego nie jest, jak tylko wietrzyk wieczorny, który tak wyraźnie przemawia. Lecz w tym samym momencie usłyszał nad swoją głową *akord doskonały* trzech dzwonków kryształowych,

podniósł więc oczy, i zobaczył trzy zielono-złociste małe węże, wplątane w gałęzie, które zwróciły główki na zachodzące słońce. Wnet tenże sam co poprzednio szelest i chichotanie, doniosły mu do ucha niedawno słyszane wyrazy, węże szczebiotały przesuwając się po gałązkach, z taką szybkością, że zdawało mu się iż miljony szmaragdów błyszczących, połyskuje pomiędzy liściami gęstemi bzu. To zapewne jest odbicie słońca zachodzącego, pomyślał uczeń Anzelm: ale znów dzwonki się odezwały, a Anzelm spostrzegł jak jeden z wężów zwrócił do niego głowę. Jak gdyby po nim iskra eletryczna przebiegła, zatrząsł się do głębi duszy. — Wlepił oczy w drzewinę, a dwoje ślepiąt ciemno-niebieskich, czarownéj piękności, przypatrywało mu się z nieopisanym wyrazem żądzy. Uczucie jakieś nieznane, roskoszne, i zarazem bolesne, o mało nie rozerwało mu serca. Nie mógł oderwać oczu od czarujących ślepiąt, a tymczasem pieszczony dźwięk dzwonków kryształowych, dał się słyszéć jeszcze wyraźniej jak przed tém; szmaragdy padały około niego potokiem, i okrążały go, igrając promieniami światła złocistego. Bez zatrząsł się i rzekł: — „Spoczywałeś pod moim cieniem, balsam mojéj woni otaczał ciebie, a-

leś mnie nie zrozumiał: woń jest moją mową, jeżeli ją miłość zapali.“ — Wietrzyk wieczorny przebiegł, mówiąc: „Igrałem z twojemi włosami, aleś mnie nie zrozumiał: oddech jest moją mową, jeżeli ją miłość zapali.“ Słoneczny promień przebił się przez obłoki, i jakby wypalił na duszy Anzelma ognistemi literami te słowa: „Otoczyłem cię światłem złotym; aleś mnie nie zrozumiał: ogień jest moją mową, skoro go miłość zapali!“

Ciągle i coraz bardziéj pogrążony, zatopiony w przypatrywaniu się owym czarującym slépiętom, uczuł że go palą, że go trawią życzenia i chęci coraz gwałtowniéjsze. Wszystko na około niego odżywiało się, poruszało, i pobudzało do życia i uciechy. Kwiaty i rośliny wydawały woń przyjemną, a ta była jakby śpiew miły tysiąca głosów pieszczonych, a te dźwięki uniesione na złocistych obłokach zachodu, rozchodziły się w strony, dalekie jak echo cudowne. Lecz jak tylko ostatni promień zachodniego słońca znikł za górami, i mrok roztoczył swoją zasłonę gazową po firmamencie, usłyszał w odległości głos twardy i ostry:

— Héj! héj! co tam za szmer i chichotanie? Héj! héj! kto mi poda ten promień światła z po

za gór? dosyć tego grzania się, dosyć tego śpiewania! Héj! héj! zejdźcie z gałęzi, i daléj przez trawnik, przez rzekę! Ha! ha! daléj żywo!..żywo...wo..wo!

Głos ten przebiegał jak grzmot daleki, a dzwonki kryształowe roztrzaskały się z okropnym rozstrojem. Wszystko ucichło i Anzelm zobaczył trzy małe żmijki, świecące się i połyskujące w trawie, i prześlizgujące się do Elby. Wpadły w wodę z drżeniem i pluskiem, a na powierzchni w któréj się zanurzyły, unosił się płomyk zielonawy, w kierunku ukośnym ku miastu, i rozszedł się nakoniec jak para.

WIECZÓR DRUGI.

Jak ucznia Anzelma wzięto za pijanego warjata.— Przejażużka po Elbie.—Arja di bravura kapelmistrza Grauna. Krople żołądkowe Konradego, i przekupka jabłek bronzowa.

„Ten jegomość nie musi być przy dobrych zmysłach, zawołała pewna mieszczanka wracająca z córkami z przechadzki, która zatrzymała się i założywszy w tył ręce, przyglądała się dziwacz-

nym gestom i poruszeniom ucznia Anzelma. W saméj istocie, objął on rękami pień bzu i bez ustanku wołał do gałęzi i liści: „O, tylko jeszcze raz jeden, zajaśniéjcie, pokażcie się miłe żmijki złocisto-zielone, jeszcze raz tylko pozwólcie mi usłyszéć wasz głos krystaliczny! niech tylko raz jeszcze spojrzą na mnie wasze oczki lazurowe tak łagodnie, bo mnie smutek i pałająca żądza zupełnie strawią!" i w tém wydobywał z piersi najżałośniejsze westchnienia i jęki, a pełen niecierpliwości i zniechęcenia, targał pień drzewiny, która tylko zwyczajnym szelestem liści i gałęzi zdawała się naśmiewać z boleści ucznia Anzelma.

— Ten jegomość nie może być przy dobrych zmysłach; powtarza znów mieszczanka, i zdawało się Anzelmowi, że go gwałtownie przebudzono z głębokiego uśpienia, przez polanie zimną wodą. Teraz dopiero, spostrzegł się gdzie jest, i przypomiał sobie, że jakieś widmo fantastyczne tak dalece go opanowało, że na głos sam z sobą rozmawiał. Obejrzał się na mieszczankę z zawstydzeniem, podniósł kapelusz, leżący na ziemi, i już chciał uciekać. Wtém nadszedł ojciec familji, i posadziwszy na trawie najmniéjsze dziecko, które miał na rę-

ku, przybliżył się, oparł na swojéj trzcinie, słuchał i przypatrywał się z zadziwieniem biednemu Anzelmowi. Podniósł z ziemi fajkę i kapciuszek które uczeń upuścił, i podając mu: „Niech jegomość nie lamentuje tak przeraźliwie, i nie żartuje sobie z ludzi, kiedy go żadne nieszczęście nie spotkało, prócz tego, że za nadto zaglądał do swojéj szklank; idź pan spokojnie do domu, i wyśpij się."—Ta mowa zmięszała niezmiernie ucznia Anzelma, i westchnął płaczliwie.—No! no! rzecze daléj mieszczanin, to mała rzecz, to się i najrozsądniejszemu przytrafi, a w dzień Zielonych świątek, przecież można dla rozweselenia serca wypić cokolwiek na rachunek przyszłego pragnienia. To się przebacza nawet i słudze bożemu, bo jeżeli nie jestem w błędzie, jegomość jest bezwątpienia kandydatem teologji. Ale jeżeli jegomość pozwoli, to sobie nałożę fajkę z jego kapciuszka, bo mi tytoniu zabrakło." To powiedziawszy, właśnie gdy uczeń Anzelm chciał włożyć do kieszeni swoją fajkę i tytoń, mieszczanin wydmuchnął z swojéj popioł, i zwolna jakby z zamyśleniem się, wyskrobał nożem fajkę i zaczął ją na nowo nakładać. Tymczasem na-

deszło kilka dziewcząt, które rozmawiając po cichu z mieszczanką, śmiały się ukradkiem, spoglądając na Anzelma. Biedny uczeń stał jak na szpilkach. Jak tylko mu oddano fajkę i kapciuch, kopnął się z miejsca. Wszystkie cuda które widział i słyszał, wywietrzały mu już z głowy, przypomniał sobie, że pod bzem gadał sam do siebie tysiące niedorzeczności, co tém dotkliwszém było dla niego, że od dawnego czasu, miał wielką odrazę od wszystkich monologistów. Jego nauczyciel mawiał zawsze, że przez ich usta djabeł rozprawia, o czém Anzelm kompletnie był przekonanym. Ale najprzykrzéj mu było to, że go wzięto za kandydata teologji, który się upił w dzień Zielonych świątek

Już dochodził do alei topolowéj, nie daleko ogrodu Kosela, gdy usłyszał za sobą głos wołający:—Panie Anzelm! panie Anzelm, na miłość boską gdzież tak lecisz? Uczeń stanął jakby go kto do ziemi przykuł, był bowiem pewny, że go znów jakie nieszczęście spotka. Głos znowu zawołał na niego: „Panie Anzelm, wróć że się, czekamy na ciebie na brzegu rzeki!“ Teraz dopiero uczeń nasz poznał głos swojego przyjaciela, rektora Paulmann; zwrócił się ku rzece

i znalazł rektora z jego dwoma córkami i rejestratorem Heerbrand, wsiadających już do czółna. Rektor zaprosił więc ucznia, żeby z niemi użył przejażdżki po Elbie, i przepędził u niego wieczór na przzdmieściu Pirna. Anzelm przyjął z ochotą zaproszenie, sądząc, że już uniknął fatalnego przeznaczenia, które go dzisiaj tak nie miłosiernie prześladowało. Podczas gdy przebywali rzekę, trafiło się że na przeciwległym brzegu, w ogrodzie Antoniego, zapalano fajerwerk. Race świszczały wzbijając się pod obloki, świeczki rzymskie pękały w powietrzu, rozsypując na wszystkie strony jasne światło. Uczeń Anzelm, zatopiony w dumaniach siedział obok wioślarza, ale skoro ujrzał na wodzie odbicie światełek krzyżujących się w powietrzu, zdawało mu się, że złociste węże pływają po wodzie. Wszystko co tylko stanęło mu w umyśle, wtenczas kiedy siedział pod bzem, przypomniało mu się teraz, i na nowo uczuł w sobie owe pragnienie niepohamowane, ów pociąg czarujący, jakie napełniły pod drzewiną duszę jego, roskoszą i boleścią.

— „Niestety! was-że ja to znów oglądam wężyki złociste, oh! spiewajcie jeszcze! ukażcie mi wasze oczki ciemno-niebieskie... Niestety! czyliż

jesteście na dnie wody?" Tak wykrzykiwał uczeń Anzelm i zrobił poruszenie gwałtowne, jak gdyby chciał w wodę wskoczyć.--„Czy pana djabeł opętał?" zawoła wioslarz przytrzymując go za połę od fraka. Dziewczęta które niedaleko niego siedziały, krzyknęły przeraźliwie, i uciekły w drugi koniec czółna; rejestrator Heerbrand, powiedział coś do ucha rektorowi, który mu dość długo odszeptywał, ale z całéj téj rozmowy Anzelm nie dosłyszał jak tylko wyrazy: „uważałem,. . . nigdy. . .podobny napad..." Rektor Paulmann przysiadł się obok Anzelma z powagą burmistrzowską, wziął go za rękę i zapytał:— „Co tobie jest panie Anzelm?"

Uczeń Anzelm ledwie nie odszedł od zmysłów, gdyż w jego duszy powstały sprzeczności niedorzeczne, które pokonać usiłował. Poznawal jasno, że to co wziął za połysk złocistych wężyków, było po prostu odbiciem się w wodzie fajerwerku, ale z drugiéj strony uczucie jakieś nieznane (sam nie mógł wiedziéć, błogie czy bolesne), uciskało gwałtownie jego piersi, a kiedy wioślarz roztrącał wiosłem wodę, a ta pluskała i rozstępywała się z szelestem, zdawało mu się że słyszy wyraźnie

szmer tajemniczy, przemświający do niego:— Anzelmie, Anzelmie! widzisz, my zawsze koło ciebie płyniemy? Niebój się, nasza siostrzyczka będzie na ciebie patrzyła! ufaj, ufaj!" i zdawało mu się, że widzi w głębi wody trzy pręgi świecące. Ale kiedy się lepiéj nachylił z rozrzewnieniem, żeby zobaczyć czy urocze ślepięta niewychylą się do niego z wody, poznał, że owe pręgi, były poprostu odbłyski em okien oświeconych w domach poblizkich. Siedział więc Anzelm w milczeniu, pasując się sam z sobą, a rektor Paulmann, nieco żywiéj powtórzył swoje zapytanie: „Co tobie jest, panie Anzelm!"—Uczeń odezwał się niezmiernie wzruszony:

— „Niestety! dobry, kochany panie rektorze, gdybyś wiedział, dziwne rzeczy, jakie niedawno marzyłem, mając oczy otwarte i siedząc pod bzem przy parkanie ogrodu Linka, nie dziwiłoby cię moje,.....mój pewien rodzaj obłąkania"...— Porzuć te głupstwa, panie Anzelmie, odezwie się Paulmann, miałem cię zawsze za młodzieńca z charakterem mocnym, ale marzyć mając do tego oczy otwarte, a potém ni ztąd ni z owąd, chcieć się rzucać do wody, darujesz, ale to zakrawa strasznie na pomieszanie mózgu, to trzeba być warjatem.

Tak ostra przymówka, zasmuciła niewymownie ucznia Anzelma, gdy starsza córka Paulmanna, Weronika, piękna i rumiana szesnastoletnia panienka, odezwała się, mówiąc: „Ale, mój papo kochany; musiało się jednak przytrafić coś szczególnego panu Anzelmowi, i zapewne zdawało mu się że czuwał, chociaż rzeczywiście zasnął pod bzem; bezwątpienia przyśniły mu się te wszystkie dziwactwa, i mniemaże je jeszcze ma przed oczami.“

— „I oprócz tego, moja piękna panienko, mój szanowny rektorze, przerwie rejestrator Heerbrand, czyż nie można czuwając nawet, wpaść w pewien rodzaj zamyślenia? To tak samo właśnie, jak pewnego razu, po obiedzie kiedy piłem moją kawę, w jednej z owych chwil rozprzężenia myśli, jaki zwykle bywa skutkiem, mówiąc między nami, istotnego trawienia cielesnego i umysłowego, przypomniałem sobie jakby przez natchnienie, miejsce w którém był złożony ważny dokument od dawna gdzieś zarzucony. Wczoraj nawet, patrzałem na moje własne oczy, jak przedemną tańcował ogromny dyplom łaciński pisany wielkiemi pięknemi literami gockiemi.

— Ah! powie rektor, jaz ja wiem, że zawsze miałeś mój panie i mnie wielce szanowny mości

rejestratorze, wielki pociąg do rymotworstwa, a byle tylko popuścić cugle imaginacji, natychmiast wpada się w fantastyczność i romantyzm.“

Było to pociechą dla ucznia Anzelma, że przecież ktoś jego stronę utrzymywał, wtenczas właśnie kiedy miał być posądzony o pijaństwo, albo wcale o brak rozsądku, a chociaż już dobrze się ściemniło, uważał jednak po raz pierwszy, że panna Weronika, miała wcale piękne ciemno-błękitne, czy przyczém nie bez tego, żeby mu także na myśl nie przyszły owe czarujące ślepki, które widział w gałęziach bzu.

— Musiemy się przyznać, że teraz już zapomniał nasz uczeń Anzelm o wszystkich dziwacznych, zdarzeniach, które go spotkały pod bzem; czuł się lekkim, wesołym, i wysiadającc z czółna, podał w uniesieniu radości rękę, swej opiekunce Weronice. Dosyć na tém, że kiedy ona przyjęła jego ramie, prowadził ją tak zręcznie i tak szczęśliwie że tylko raz szczególnie potknął się, a ponieważ mu się to przytrafiło na miejscu dość nieczystém, przeto cokolwiek tylko obryzgał białą sukienkę Weroniki. Szczęśliwa ta odmiana w humorze ucznia Anzlma, nie uszła baczności rektora Paulmann, pogodził się z nim i przeprosił nawet za

nieco twarde wyrazy jakie do niego niedawno wymówił.—„Tak, tak, dodał, bywają przykłady, iż podobne widma, zwodzą, trapią, przestraszają, ale to są skutki słabości cielesnych, które się leczą za pomocą, *salva venia*, pijawek przystawionych do pewnéj części ciała, jak tego dobrze dowiódł, pewien uczony, niedawno zmarły.“

Właściwie, uczeń Anzelm, sam niewiedział czy był pijany, obiąkany, alko też chory: w każdym razie, pijawki zdawały mu się niestosownemi, z powodu że owe mniemane uroki, zupełnie zniknęły, i że czuł się coraz swobodniejszym, w miarę jak mu się udawało prawić tysiące grzeczności pięknéj pannie Weronice. Po lekkiéj wieczerzy, wzięto się jak zwykle do muzyki, a na ucznia Anzelma przypadło siąść do forepianu i akompańjować śpiewaniu Weroniki.

— „Piękna panienko, odezwie się rejestrator Heerbrand, masz głos tak czysty, jak dźwięk dzwonka kryształowego.“

— „Chowaj Boże, zawoła Anzelm mimowolnie, i sam nie wiedząc jak, mruczał pod nosem, dzwonki kryształowe odezwały się w owym bzie cudownie, cudownie.

Weronika położyła rękę na jego ramieniu, zapytując: Co pan mówisz, panie Anzelmie?

W mgnieniu oka Anzelm przyszedł do siebie i zaczął przygrywać na fortepianie. Rektor Paulmann patrzał na niego marsem, a rejestrator Heerbrand, położył nóty na pulpicie, i zaczął śpiewać do zachwycenia arję di bravura kapelmistrza Grauna *) Student Anzelm akompańjował jeszcze kilka innych śpiewów, a w końcu duet w fugach, kompozycji samego rektora Paulmann który prześpiewał z Weroniką, wprawił wszystkich w najlepszy w świecie humor. Było już dosyć późno, a Rejestrator Heerbrand brał się za kapelusz i trzcinę, gdy do niego rektor Paulmann przystąpił i z niejaką tajemniczością szepnął:

— Czy nie chciałbyś, wielce szanowny rejestratorze, sam powiedzieć, temu dobremu panu Anzelmowi, że.....to co już wiesz.

— Z miłą chęcią, odpowie Heerbrand, i kiedy wszyscy zasiedli wkoło, zaczął bez żadnego wstępu mówić w taki sposób:

*) Będzie to bezwątpienia Karol Henryk Graun, znakomity kompozytor i Mistrz kapeli dworu Fryderyka 2go Króla Pruskiego. Wielu jest innych tego nazwiska kompozytorów, lecz mniéj od niego wziętych.

— „Jest tu w mieście stary jeden człowiek, wielki dziwak; powiadają o nim, że się trudni naukami tajemnemi, ukrytemi; ale ponieważ, prawdę mówiąc, takie nauki w świecie nie istnieją, zatém jabym go raczéj uważał jako antykwarjusza, albo jako chemika praktycznego. Mówię tu o naszym rzeczywistym archiwiście Lindhorst. Jak wiadomo, żyje on w swoim starym domku, zupełnie odosobniony od świata, w odległym zakątku pobocznéj uliczki; a jeżeli go obowiązki służby nie zajmują, znaleść go można w jego bibljotece, albo w laboratorjum, dokąd nikogo nie wpuści. Pomiędzy wielu rzadkiemi książkami, posiada on niezłą porcję rękopismów arabskich, koptyjskich a nawet niektóre pisane znakami, jakie do żadnego narzecza znanego przystosować się nie dadzą. Chciałby on miéć je przepisane starannie, i potrzebuje na to kogoś, coby umiał dobrze piórem rysować, i przenieść wiernie na pargamin, tuszem chińskim, wszystkie te hieroglify, z zachowaniem jak najskrupulatniej tożsamości. Sam doglądać będzie roboty, w swojém mieszkaniu, i oprócz stołu, obiecuje talar bity na dzień, a jak cała robota szczęśliwie zostanie ukończoną, przyrzeka dać piękny podarunek. Już kilku młodych ludzi doświad-

czało tak pięknego zarobku, ale niepomyślnie, dla tego pan Lindhorst zgłosił się do mnie z prośbą o wystaranie się zręcznego rysownika. Pomyślałem ja natenczas o panu, kochany panie Anzelmie, wiedząc, że nietylko ładnie piszesz, ale umiesz piórem pięknie rysować. Jeżeli tedy sobie życzysz, w teraźniejszych krytycznych czasach, i nim się doczekasz posady korzystnéj, zarobić dziennie talar bity, i prócz tego dostać dobry podarunek, to przyjdź jutro w samo południe do archiwisty; wiesz gdzie mieszka. Ale ostrzegam żebyś był ostrożny, bo jak zrobisz plamkę choćby najmniejszą, będziesz musiał bez ceremonij na nowo pisać, niechby cię spotkało nieszczęście splamić sam oryginał, pamiętaj, że archiwista jest okrutnie prędki, i wyrzuciłby cię niezawodnie oknem."

Propozycja ta niezmiernie się podobała uczniowi, bo pominąwszy, że pisał pięknie i rysował bardzo dobrze, miał szczególne upodobanie w pracowitém i mozolném piśmie, niemniéj w ozdobach kaligraficznych. Podziękował zatém najserdeczniej i szczerze rejestratorowi Heerbrand, i przyrzekł, że nazajutrz stawi się na godzinę oznaczoną.—Przez całą noc, marzył tylko Anzelm o samych talarach bitych. I któż ma

to wreście za złe weźmie? W tylu nadziejach zawiedziony, przez igraszkę kapryśnéj fatalności, ledwo z największą oszczędnością mógł się biedak utrzymywać jako tako, i odmawiać sobie niejednéj uciechy do jakiéj go wiek młody pociągał.

Raniutko nazajutrz przygotował sobie ołówki, pióra krucze, i tusz, albowiem niespodziewał się znaleść lepszego u archiwisty. Następnie przejrzał swoje najlepsze rysunki, oraz arcydzieła kaligrafji, żeby miał co do pokazania jako próbkę swojéj zdolności. Dotąd wszystko szło jak najpomyślniéj, jakaś szczęśliwa gwiazda zdawała się nim opiekować. Od jednego razu udało mu się dobrze zawiązać chustkę na szyi, żaden guzik się nie urwał, ani oczko nawet nie pękło w jedwabnych ciasnych jego pończochach, i kapelusz dobrze wyszczotkowany, osiedział się tym razem na głowie; słowem wszystko szło jak najlepiéj i punkt o godzinie w pół do dwunastéj, uczeń Anzelm we fraku stalowo-popielatym, w spodniach czarnych manszestrowych, z zwitkiem wzorów kaligrafji i ręcznych rysunków, znajdował się już przy ulicy Zamkowéj, w cukierni Konradego, i spijał drugi kieliszek kropli żołądkowych, bo tutaj, pomyślał sobie uderzając się po kieszeniach

próżnych, brząkać będą talary bite. Chociaż domek stary archiwisty Lindhorst, leżał na przedmieściu odległém, jednak uczeń Anzelm, akurat w samo południe, już stał przed jego drzwiami, wpatrując się w wielką bronzową kołatkę. Lecz za ostatniém uderzeniem zegaru na wieży kościelnéj, w chwili kiedy uczeń już brał w rękę kołatkę, twarz bronzowa na niej wyrobiona, zaczęła okropnie przewracać oczy, z których płomień siarczysty pryskał, potém z zgrzytaniem zębów szyderczo się uśmiechnęła, i biedny uczeń zobaczył nieszczęśliwą twarz przekupki jablek z pod czarnéj bramy, jéj spiczaste zęby szczękały pod wyschłemi wargami, które wydobywały rzęzanie podobne do grzechotki: — „A tuś mi? szaleńcze! — myślałeś że tu wejdziesz, ale tarara! tarara! tarara! — Pocoś tak prędko biegł, ty bezmózgowcze!“

Uczeń Anzelm zadrżał i odskoczył, chciał się oprzéć o framugę drzwi, ale ręka jego schwyciła za sznurek od dzwonka, pociągnęła go i dźwięk przeraźliwy rozległ się po wszystkich kątach, w tonach najniezgodniejszych, a jego echo zdawało się przemawiać: „Wkrótce, wpadniesz w kryształ!“

Dreszcz zimny przebiegł po całém ciele Anzelma przejętego zgrozą. Widział jak sznurek od dzwonka wyciąga się i zamienia w ogromnego białego węża który go opasuje i dławi, ściskając coraz bardziéj swoje pierścienie, tak że wszystkie kości ucznia pokruszyły się w drobne kawałki, a krew wytryskując z żył przechodziła w przezroczystego węża i zaczerwieniła go zupełnie. W tém okropném przerażeniu, chciał krzyczéć: „Zabij mnie zabij!“ ale nie mógł głosu z piersi wydobyć. Wąż podniósł głowę, i przyłożył ostre żądło do serca ucznia, który poczuł ból przenikliwy i stracił zupełnie przytomność.

Kiedy przyszedł do siebie, ujrzał się uczeń Anzelm na swojém ubogiém posłaniu, a obok niego siedział rektor Paulmann. który zawołał: „Na miłość Boską, co to za niedorzeczności panie Anzelmie.“

WIECZÓR TRZECI.

Wiadomość o pochodzeniu Archiwisty Lindhorst. Niebieskie oczy panny Weroniki. — Rejestrator Heerbrand.

Duch spojrzał na wody; poruszyły się, a pieniste ich bałwany zaryczały, i z trzaskiem piorunu strąciły się w czarne otworzyste przepaście, które je pochłonęły. Nakształt zwycięz-

ców upojonych tryumfem, wielkie skały granitowe, wznosiły swoje szczyty zębate i osłaniały dolinę, aż dopóki słońce nieprzyjęło onéj na swoje ojcowskie łono, i nie okryło swòjemi promienistemi ramionami, obsypując tysiącem pocałowań i tchnieniem ciepła. Wtenczas odżyły tysiączne zarodki spoczywające pod niepłodnym piaskiem, wypuściły łodygi i liście, i jak dzieci uśmiechające się w kolebce, składały w pączkach młode kwiatki, które znów ożywiając się, okrywają się świetnością różnobarwną. Ale wpośrodku doliny wznosi się czarna skała, wzdęta jak pierś człowieka miotanego gwałtownemi namiętnościami.—Z pośrodka przepaści, wznosiły się kłębami wapory, które skupione w massę, usiłowały zaciemnić twarz ojca słonecznego, lecz ten przyzwał w pomoc orkan, a chmury rozwiane zostały i znikły jak pyłek. Gdy następnie czysty promień słońca dotknął się czarnéj skały, w tém zachwyceniu całego przyrodzenia, powstala śliczna lilja płomienista, otwierająca swoje listki, jakby usteczka nadobne, do całusów swojego ojca. Natenczas zstąpił na dolinę świetny płomyk; był to młody Fosfor. Lilja spo-

strzegłszy go, westchnęła czule i pieszczotliwie: „Bądź moim na zawsze nadobny młodzianie! gdyż ja ciebie kocham, i umarłabym gdybyś mię porzucił.“ Młodzieniec Fosfor, odpowiedział: „Będę twoim, piękna Liljo, ale wtenczas odstąpisz ojca i matki, wyrzekniesz się twoich towarzyszek, zechcesz być większą i okazalszą od twoich rówienniczek, z któremi teraz igrasz.— Namiętność, która teraz oblewa cię całą płomieniem dobroczynnym, zapuści wkrótce w twoje serce, tysiące żądeł ostrych, albowiem zmysł będzie płodził zmysły, a roskosz najwyższa, jaką zapala iskra którą w tobie składam, jest cierpieniem bez nadziei, które cię zniszczy, ażeby na nowo ożywić w innéj postaci. Tą iskrą jest myśl.“—„Niestety! westchnie Lilja płaczliwie, w uniesieniu które mię teraz przejmuje, czy nie mogę być twoją? czyż będę mogła więcéj cię kochać jak teraz? czy będę mogła tak miłośnie spoglądać na ciebie, jeżeli mnie zniszczysz? Na ówczas młody Fosfor dał jéj pocałunek, a Lilja jakby przeszyta promieniem światła, wyrzuciła z siebie płomień, z którego wyszła istota nieznana, i ulatując z doliny, bujała w przestrzeni nie-

skończonéj, nie troszcząc się ani o towarzyszki młodości, ani o młodego kochanka. Fosfor zapłakał nad utratą ulubionéj, albowiem miłość jaką powziął do Lilji, sprowadziła go na ową dolinę, a skała granitowa, jakby podzielała strapienie młodzieńca, zwiesiła swoje czoło. Wtém skała otworzyła swoje łono, a z niego wyszedł smok czarny, którego skrzydła sprawiały ponury szelest: „Moi bracia, zawołał, to jest kruszce, spoczywają tam w ziemi, lecz ja nad niemi bacznie czuwam, przyszedłem ci dopomódz.“ Wzbijal się w powietrze i spuszczał, póki nakoniec nie złapał owego stworzenia, co to z Lilji wyszło. Uwięził je pod swojemi skrzydłami i zaniósł na pagórek, a wtenczas stworzenie to stało się znowu lilją, jak przedtém, ale mu się została pamięć, dar fatalny! Jego miłość dla Fosfora rozpływała się w westchnieniach udręczenia, a młodeł kwiatki, dotknięte tchnieniem dającém im dawniéj życie, obumierały na swoich łodygach. Młody Fosfor przywdział świetną zbroję i walczył z smokiem, który uderzając czarnemi skrzydłami po pancerzu, wydobywał z niego dźwięki przeraźliwe. Te dźwięki ożywiły młode kwiatki, które znów, jak rój pszczół zaczęły latać na około smoka. Siły go opuści-

ły; pokonany i zawstydzony, skrył on się w głębiach przepaści, a lilja oswobodzona odbierała pieszczoty czułego młodzieńca Fosfora. Kwiaty, ptaszki, a nawet niebotyczne skały granitowe, zaśpiewały hymn radości, i powitały królowę doliny.

— Za pozwoleniem, wielce szanowny mości archiwisto, powie rejestrator Heerbrand, to mi coś strasznie zakrawa na powieść wschodnią, a jeżeli się nie mylę, prosiliśmy cię żebyś nam opowiedział, zwyczajnie, jaki dziwny wypadek z twojego życia, naprzykład z twoich podróży, byleby to było do prawdy podobném.

— A cóż to jest innego? odpowie archiwista Lindhorst, to co wam dopiero opowiadałem, jest bardzo prawdo-podobne i należy niejako do historji mojego życia; albowiem ja mój ród wywodzę z owéj doliny, a Lilja, którą miłość na tronie osadziła, była moją pra-pra-pra-pra-babką, z czego wypływa, że ja jestem także książęciem.

Wszyscy zaczęli się śmiać głośno.

— Śmiéjcie się, śmiéjcie, ile tylko się spodoba, mówił daléj Lindhorst; powieść którą dopiero słyszeliście, może się wam wydawać nieprawdziwa, przesadzona, ale dowiedzcie się że to

nie jest ani fikcja, ani alegorja, tylko rzeczywista prawda. Bezwątpienia, gdybym był wiedział, że opowiadanie roskosznéj miłości, która mi dała życia, nie będzie was zajmowało, tobym był wam udzielił niektóre z nowin jakie mi opowiedział mój brat, wczoraj, kiedy był u mnie z wizytą

— Jakto, to pan masz brata, mości archiwisto? gdzież on jest? gdzie mieszka? czy tak jak pan, zostaje w służbie rządowéj? lub też czyli jest uczonym, żyjącym sobie prywatnie.

— Nie, odpowie na te wszystkie pytania Lindhorst, spokojnie i obojętnie, zażywając przytém tabaczkę, jemu się źle powiodło, i poszedł żyć ze smokami.

— Jak pan mówisz? wielce szanowny archiwisto, rzecze rejestrator Heerbrand, pomiędzy smokami?

Pomiędzy smokami? zewsząd się głosy razem odezwały.

— Tak jest, między smokami, rzecze daléj Lindhorst, w gruncie rzeczy, uczynił on to z rozpaczy. Wiecie państwo wszyscy, że moj ojciec umarł niedawno, będzie temu najwięcéj lat, może trzysta ośmdziesiąt i pięć, i dla tego eraz noszę żałobę. Zostawił on mi, jak swemu

faworytowi, kosztowny klejnot, który mój brat chciał posiadać. Z téj przyczyny powstała między nami sprzeczka, przy zwłokach ojca, tak nieprzystojna, że nieboszczyk stracił cierpliwość, podniósł się z trumny, i zrzucił kłótliwego brata ze schodów. Sprawiło to memu bratu wielką przykrość, i z żalu poszedł żyć pomiędzy smokami. Teraz mieszka niedaleko państwa Tunis, w cyprysowym lesie, gdzie pilnuje cudownego karbunkułu, na który się czai djabeł zaczarowany, który przez lato przebywa w ładnym wiejskim domku w Laponji. Wtenczas tylko kiedy zaczarowany djabeł przechadza się po swoim ogrodzie i opatruje zagony Salamandrów, mój brat może na kwandransik przyjść do mnie, i na prędce opowiedzieć co się dzieje u źródła Nilu.

Powtórnie głośny śmiech wybuchnął w całém towarzystwie, jeden tyko uczeń Anzelm czuł się być wzruszonym, i nie był wstanie bez tajemnego zadrżenia znieść bystrego i spokojnego wzroku archiwisty. Niekiedy nawet głos jego, miał pewien dzwięk metaliczny, tak przenikliwy, że biedny Anzelm poczuł go aż w szpiku swoich kości.

Nie zanosiło się na to co sobie rejestrator Heerbrand zamierzył, kiedy na ten wieczór zaprosił na kawę Anzelma. W saméj istocie, od przypadku który go spotkał u drzwi archiwisty, nie można już było namówić niefortunnego ucznia, ażeby tam drugi raz poszedł, albowiem stale był przekonanym, tylko przypadek ocalił go jeżeli nie od śmierci, że to przynajmniéj od postradania rozumu. Właśnie kiedy uczeń leżał jak długi pod drzwiami archiwisty, nadszedł w to miejsce rektor Paulmann, i zobaczył że stara jakaś kobieta, postawiwszy na boku koszyk z jabłkami i ciastkami, trzeźwiła go. Kazał zawołać natychmiast lektykę i odprowadził go do domu.

— Niech sobie o mnie kto jak chce myśli, rzecze Anzelm, niech mnie sądzą za warjata...

— Niechaj, bąknie rektor.

— A ja widziałem na kołatce twarz starej czarownicy z czarnej bramy, wykrzywiła się na mnie; a co się tycze tego co potém nastąpiło, wolę o tém wcale nie mówić. Jednakże gdyby był przyszedłszy do siebie zobaczył owę przeklętą przekupkę (bo ja wiem że ona to koło mnie się krzątała), byłaby mnie niezawodnie

apoplexja uderzyła, albobym może na prawdę zwarjował.

Wszelkie przedstawienia i uwagi rektora Paulmann i rejestratora, na nic się nie przydały, ani nawet sama panna Weronika z niebieskiemi oczkami, niemogła go wydobyć z pewnego rodzaju zamyślenia osłupiałego w którém uczeń Anzelm był pogrążony. Wtenczas zaczęto doprawdy myśléć że chory na umyśle, i starano go się rozerwać, w czém rejestrator Heerbrand mniemał iż w takiém położeniu, najpomocniéjszą dla niego będzie praca, którą mu był nastręczył u archiwisty Lindhorst. Chodziło tylko jeszcze o to aby Anzelma przedstawić korzystnie panu archiwiście, a Heerbrand wiedząc, że tenże codziennie bywał w pewnéj znajoméj kawiarni, zaprosił ucznia, aby do niéj co wieczór przychodził na buteleczkę piwa i fajeczkę, na jego koszt, dopóki się tym lub owym sposobem nie zapozna z archiwistą, i dopóki się z nim nie ułoży względem przepisania rękopismów. Z wdzięcznością przyjął Anzelm to zaproszenie.

— Zyskasz błogosławieństwo nieba, kochany rejestratorze, jeżeli przywrócisz do rozeznania tego młodzieńca, rzecze rektor Paulmann.

— Błogosławieństwo nieba! powtórzyła Weronika, wznosząc pobożnie oczki do góry, i myśląc sobie w duchu, że uczeń Anzelm, jest młodym i przystojnym nawet bez rozumu.

Kiedy już archiwista Lindhorst wziął laskę i kapelusz, zabierając się do wyjścia, rejestrator uchwycił nagle za rękę Anzelma, i zastąpiwszy drogę archiwiście, powiedział: Mości, mnie wielce szanowny, panie rzeczywisty archiwisto, oto jest uczeń Anzelm, którego przedstawiam jako biegłego kaligrafa i zręcznego rysownika, który podejmuje się przekopjować twoje szacowne rękopisma.

— A, a, bardzo mi to jest przyjemnie, odpowie Lindhorst, poczém wsadził nagłowę swój trójrożny kapelusik z pewnę powagą wojowniczą, i odpychając na jedną stronę rejestratora, a na drugą Anzelma, rzucił się pomiędzy niemi do drzwi, i złoskotem pobiegł po schodach, gdy tymczasem tamci z otwartemi ustami stali i na chwiejące się jeszcze na zawiasach drzwi spoglądali.

— Stary dziwak! zawoła Heerbrand.

— Zapewne, bardzo szczególny człowiek, wybełkotał po nim Anzelm.

— Archiwista, mówili inni goście wśród głośnego śmiechu, był dzisiaj znów w swoim humorze fanstastycznym; ale to nigdy dłużéj nie trwa jak dzień jeden. Jutro nie będzie tego ani śladu; jak burza przeminie, siedzi zwykle w kącie, nie odzywa się ani z jedném słówkiem przez kilka godzin, tylko wzrokiem ściga przed sobą dymek tytóniowy, albo czyta gazety; a co się tycze jego opryskliwości, nie należy się z niéj gorszyć.

— I to prawda, pomyślał Anzelm, któż się tém obrazi, wszakże przecie archiwista powiedział że się bardzo cieszy iż ja się podejmuję przepisania jego rękopismów?

— A potém, po co mu rejestrator Heerbrand, drogę zastąpił wtenczas, kiedy on chciał wychodzić?

— Nie, nie, w gruncie archiwista Lindhorst jest bardzo zaczny człowiek, i niezmiernie hojny.

— Tylko że ma sposób mówienia trochę dziwaczny.... ale nikomu nie szkodzi.

— Jutro w samo południe, pójdę do niego, chociażby mi tysiąc bronzowych jabłczarek miało drogę zastępować.

WIECZÓR CZWRTY.

Melancholja ucznia Anzelma.—Zwierciadło szmaragdowe. — Archiwista Lindhorst ulatuje w postaci sępa, a uczeń Anzelm nie spotkał nikogo.

Może nie odrzeczy będzie zapytać się tutaj ciebie łaskawy czytelniku, czyli w życiu twojém nie miałeś takich godzin, albo też dni lub tygodni nawet całych, w którychby wszelkie bez wy-

jątku czynności i poruszenia twoje, obudzały w tobie pewne przykre uczucia, lub w którychby wszystko, co kiedyindziej najgodniejszém było zająć twoją uwagę, zdało ci się być nędzném i wzgardy godném? W takich zdarzeniach, sam nie wiedziałeś czego się chwycić jak się obrócić; jakieś niepewne, ciemne uczucie chęci, która miała się w swojém miejscu i czasie zjiścić, napełniało twoją duszę, owéj to chęci wyższéj nad wszelkie roskosze ziemskie, i któréj rozum, podobny do dziecka bojaźliwego, nie śmie wyrazić. Ścigany krok w krok przez owe nieznane coś, jakby przez sny i widma przezroczyste i eteryczne, nie czułeś wówczas żadnego pociągu do wszystkiego co cię otaczało. Z wzrokiem obłąkanym, chodziłeś jak cień, lub jak kochanek rozpaczający, a każde poruszenie tłumu, nie sprawiło ci ani boleści ani przyjemności, tak jak gdybyś nie należał już do tego świata. Jeżeli kiedy łaskawy czytelniku, byłeś w podobnym humorze, poznasz łatwo z własnego doświadczenia stan w jakim się znajdował uczeń Anzelm.

W ogólności, chciałbym dobry czytelniku, żeby mi się dotychczas już udało dać ci poznać

tego ucznia Anzelma; gdyż w wieczorach w których przepisuję dla ciebie jego historję bardzo przedziwną, pozostaje mi do opowiedzenia ci tyle rzeczy osobliwych, zakrawających nawet na marzenia cudowne, mogące zachwiać słaby umysł ludzi pospolitych, że obawiam się abyś nie poczytał za zmyślenie, ucznia Anzelma, i archiwistę Lindhorsta, oraz ażebyś nareszcie nie powziął jakowej wątpliwości co do istnienia rektora Paulmann i rejestratora Heerbrand, bez względu na to, że dwie te znakomite osoby, żyją i mieszkają jeszcze w Dreznie. Zrób kochany czytelniku, wycieczkę do owego kraju cudownego, w którym wieszczki panują, w którym potężne ramiona zanurzą cię w morze roskoszne albo pełne okropności, gdzie poważna bogini powierza niekiedy swoją zasłonę zefirom, i każe nam mniemać żeśmy jéj wdzięki dostrzegli....Lecz czasem w poważném spojrzeniu błyśnie uśmiech, a w nim to dopiero zobaczemy fantastycznego djabełka, którego dziwaczne sprawki nas mięszają i w obłąd wprowadzają, kiedy z nami igra jak matka z upieszczonym dziecięciem. Otóż w tym kraju, do którego nas często myśl przenosi, przynajmniej we śnie, chciej tylko dobry czytelniku poszukać twarzy znajomych, jakie zawsze widziałe w życiu

codzienném, a będzie ci się zdawało, że ów kraj marzeń jest blisko ciebie, i bardzo blisko, bliżej nawet jak może myślałeś. Otóż to właśnie, chciałbym ci jasno wykazać w nader dziwnéj historji ucznia Anzelma.

A zatém, jak się wyżej powiedziało, uczeń Anzelm, od owego wieczora w którym widział się z archiwistą Lindhorst, wpadł w jakiś rodzaj błędnego zamyślenia, które go uczyniło obojętnym na wszelkie stosunki świata zewnętrznego. Czuł że w głębi jego duszy porusza się coś, co mu sprawiało owę roskosz dolegliwą, owe żądanie z wszystkiemi jego urokami i nadziejami lepszego życia.

W takiém usposobieniu najmiléj mu było błądzić po łąkach i lasach, i jakby odłąc ony od wszystkiego co go do życia kłopotliwego przywiązywać mogło, znajdować i poznawać siebie samego w zmieniających się co raz obrazach, jakie się w jego duszy kreśliły. Tym sposobem trafiło się pewnego razu, że powracając z dalekiéj przechadzki, nadszedł do tego samego bzu, pod którym niegdyś, w czarodziejskiém uwikłaniu widział tyle osobliwości. Coś go niezmiernie nęciło do darniowéj kanapki, które mu się wydawała jakby nowa ojczyzna, lecz skoro tylko na

niéj usiadł, natychmiast stanęły mu przed oczami wszystkie urocze widoki, którym już raz się przyglądał z nadziemskiém zachwyceniem, które mu się teraz przedstawiły w żywszych kolorach. Więcéj jak kiedy był teraz przekonamy, że owe piękne oczki niebieskie należały do zielono-złocistéj żmijki, wijącéj się po gałęziach bzu, i że każde poruszenie jéj gibkiego ciała, wydawało owe krystaliczne dźwięki, które zrodziły w jego duszy wzruszenia i szczęśliwość.

Równie jak w wieczór Zielonych świątek, Anzelm objął pień drzewiny, i przemawiał do gałęzi i liści:—Ah! raz tylko jeszcze pokaż się, bujaj i wplącz się w gałązki, nadobna zielono-złocista żmijko, niech na się ciebie do sytości napatrzę Raz tylko chociaż, daj mi widzieć twoje mile oczki! Kocham cię! ah! umrę z żalu jeżeli nie powrócisz.“—Ale to naprożno, wszystko było nieme i milczące, tylko jak pierwszym razem liście bzu szeleściły z lekka. Teraz uczeń Anzelm zdawał się poznawać przyczynę owego wewnętrznego wzruszenia które go niepokoiło, jako też owe pragnienie dokuczliwe które rozdzierało jego duszę. „To nie może być nic innego, tylko że cię śmiertelnie kocham, moja najdroższa żmijko zielono-złocista; nie mogę żyć

bez ciebie, i nędznie zniszczeję jeżeli cię nie będę widział, jeżeli cię nie posiędę, ciebie kochanko serca mojego! Ale ja wiem, będziesz moją, a moje marzenia, które mi ustawicznie ukazują przyszłość szczęśliwszą, wyższą, sprawdzą się.“

Od tego czasu, każdego wieczora, kiedy promienie słońca tylko wierzchołki drzew oświecały, uczeń Anzelm przychodził do bzu, wydobywał z piersi rzewliwe westchnienia do gałęzi i liści, dopominając się u nich o swoją kochankę, małą żmijką zidono-złocistą.

Razu jednego gdy się podobnie zabawiał, stanął przed nim nagle człowiek wysoki i chudy, w długim iasno szaraczkowym surducie, który wlepił w niego wzrok przenikliwy: Héj! héj! co to za lamenta? Ha, ha, to pan Anzelm co miał kopjować moje rękopisma. — „Niepomału się przeląkł uczeń Anzelm, gdy usłyszał ten sam głos, który w dzień zielonych świąt ostro i twardo przemawiał: „Hej! héj co tam za szmer i chychotanie? i t. d. W zadziwieniu i osłupieniu nie był wstanie słowa przemówić.

— No jakże, cóż ci to jest panie Anzelm? mówił daléj archiwista Lindhorst, (albowiem ów człowiek w szaraczkowym surducie, nie kto inny był jak on sam,) czego chcesz od tego

bzu, i dla czego dotychczas nie byłeś u mnie, żeby zająć się swoją robotą.

Rzeczywiście, Anzelm nie mógł nabrać odwagi żeby drugi raz powrócić do domu archiwisty, pomimo iż co wieczór mocno sobie zamierzał dopełnić tego. Teraz, kiedy wszystkie jego piękne marzenia zniweczone zostały, właśnie tym samym nieprzyjaznym głosem, który już go raz pozbawił przedmiotu ulubionego, Anzelm wpadł w pewien rodzaj szaleństwa, i gwałtownie wybuchnął: — Uważaj mnie pan, mości archiwisto, za warjata, lub nie, to mi zarówno; jednak ja sam, tutaj na tym drzewie, widziałem w dzień zielonych Świątek, węże zielono-złociste. Niestety! droga na wieki sercu mojemu kochanka, przemawiałaś wtedy do mnie cudownie, dźwiękiem krystalicznym, a pan, mości archiwisto, krzyczałeś, i wołałeś z drugiéj stony rzeki głosem tak strasznym, że.....

— Jak to, mój przyjacielu? przerwie archiwista, biorąc tabaczkę z szczególniejszym uśmiechem.

Zdawało się Anzelmowi że się wielkiego z ser-

ca pozbył ciężaru, kiedy zaczął opowiadanie owéj przygody, było to podług jego mniemania już wiele, kiedy mógł obwinić archiwistę, iż wtenczas tak nieznośnie piorunował. Zebrawszy tedy cały swój umysł w kupę, rzekł: — Dobrze więc, opowiem panu to wszystko co mi się dziwnego przytrafiło w wieczór Zielonych świątek, a potém możesz sobie o mnie myśleć i mówić co się spodoba. Opisał więc całą przygodę, zacząwszy od przewrócenia koszyka z jabłkami, aż do chwili kiedy trzy małe żmijki zielono-złociste, odpłynęły przez rzekę, nieprzepominając i to dodać, że ludzie którzy go wtenczas widzieli, wzięli go za pijanego albo za warjata. — Wszystko to, dodał w końcu, widziałem na własne oczy a słodkie głosy które do mnie przemawiały, brzmią mi jeszcze w duszy. Że dotychczas nieumarłem, z miłości i smutku, winienem to jedynie wierze jaką pokładam w zielono-złocistych żmijkach, chociaż uważam po jego uśmiechu, mości archiwisto, że je bierzesz za igraszkę wybujałéj wyobraźni.—

— Bynajmniéj, odpowie z największą flegmą archiwista, owe zielono-złociste żmijki, które widziałeś w bzie, panie Anzelmie, są to moje trzy,

córki, i zakochałeś się w niebieskich oczach najmłodszé, która się zowie Serpentyna, to jest rzecz jasna. Wreszcie, wiedziałem o wszystkiém w dzień Zielonych świątek, byłem wtenczas w domu i siedziałem przy biurku, a znudzony ustawiczném swiegotaniem i brzęczeniem, zawołałem na moje szczebiotnice, że czas wrócić do domu bo słońce zachodzi, i dosyć się już naspiewały.

Zdawało się teraz uczniowi Anzelmowi, że słyszy potwierdzenie wyraźne i jasne, tego wszystkiego, co już od dawna przeczuwał, a chociaż i drzewo, i mur, i darnina i cała okolica zdawała mu się w głowie zwolna kołować, silił się jednak chcąc przemówić. Lecz archiwista nie dał mu na to czasu; zdjął z lewéj ręki rękawiczkę i pokazując Anzelmowi do światła, pierścień z kamieniem rzucającym blask świetny, powiedział: Patrzaj, kochany panie Anzelmie, a zobaczysz tu rzeczy które ci przyjemność sprawią. —

Uczeń spojrzy, aliści o cuda! djament rzucał jakby z pałającego ogniska, promienie które się w przedłużeniu krzyżowały, i uformowały niejakie zwierciadło kryształów, a w niém ujrzał skakające i igrające trzy żmije zielono-złociste które za każdém otarciem się o siebie wydawały

dźwięk podobny do dźwięku wielu dzwonków kryształowych. Jedna z owych żmijek, wysunąwszy naprzód główkę, zdawała się mówić oczkami: „Czy poznajesz mnie Anzelmie? wierzysz mi? Miłość zależy na wierze....czy umiesz kochać?

— O Serpentyno, Serpentyno! zawoła uczeń, w uniesieniu bliskiém szaleństwa. Ale archiwista Lindhorst dmuchnął nagle na zwierciadło, zaciemnił je, i włożył na rękę rękawiczkę. — Czy widziałeś panie Anzelmie, małe żmijki złociste?

— Bezwątpienia, widziałem je, a co większa i piękną Serpentynę.

— Cicho, cicho, przerwie uczniowi archiwista, dosyć tego na dzisiaj,....Z resztą będziesz mógł częściéj widywać moje córki, a raczéj sam ci ułatwię tę przyjemność, jeżeli tylko gorliwie się zajmiesz twoją pracą, to jest jeżeli wiernie i dokładnie przekopjujesz moje rękopisma. Ale nie przychodzisz wcale do mnie, chociaż rejestrator Heerbrand zapewnił mnie, że się niebawnie stawisz, przecież już od kilka dni napróżno cię oczekuję.

Na to imie Heerbrand, przypomniał sobie uczeń, że znów obiema nogami dotyka ziemi, że jest istotnie uczniem Anzelmem, i że przed nim

stoi ani mniej ani więcéj jak archiwista Lindhorst, a obojętność jego z jaką wymówił powyższe słowa, znajdowała się w niemiłéj sprzeczności z objawieniem, które niby jaki czarnoksiężnik, wywołał. Spojrzenie jego oczów zapadłych w chude i kościste policzki, które zdawało się wyrzucać iskry z dwóch otchłani, nadawały jego fizjonomji cóś tak przerażającego, że Anzelm uczuł w duszy tę samą obawę, jaką był przyjęty owego czasu w kawiarni, kiedy archiwista prawił tak dziwne rzeczy. Z wielkiém wysileniem ledwo przyszedł do siebie, a kiedy archiwista pytał się go po raz drugi, dla czego do niego nie przychodzi. Anzelm opowiedział mu całą przygodę jaka go spotkała przy jego drzwiach.

— Mój panie Anzelm kochany, powie archiwista, skoro uczeń skończył swoje opowiadanie, znam ja dobrze tę przekupkę o któréj mówiłeś; jest to niegodziwe stworzenie; już ona mi nie jednego figla spłatała; ale tego już nadto, żeby się ubronzować i zająć miejsce mojéj kołatki, dla tego iżby mię pozbawić pańskich odwiedzin któreby były dla mnie najprzyjemniejszemi. Jutro w południe, jak przyjdziesz do mnie, a zobaczysz, że ona pozwoli sobie w czémkolwiek

przedrzeźniać lub cię skrzeczyć, bądź tak dobry, panie Anzelmie, i pryśnij jéj w ślépie kilka kropli tego likworu; a natychmiast wszystko do porządku wróci. Tym czasem, żegnam cię, kochany panie Anzelmie, ja chodzę cokolwiek prędzéj, dla tego nie namawiam cię żebyś razem zemną do miasta wracał. Adieu! do zobaczenia jutro w południe.

Archiwista dał Anzelmowi flaszeczkę z likworem żółto-złotym, i spiesznie się oddalił. Noc zapadała a wciemności wydawał się więcéj unosić na doliną niżeli iść. Był już około ogrodu Kosela, kiedy raptem wiatr wydął wielkie poły jego szaraczkowego surduta, i rozpostarł jak dwa wielkie skrzydła. Uczeń Anzelm, ścigając oczami archiwistę, mniemał widziéć ogromnego ptaka w locie. Wpatrywał się jeszcze lepiéj, gdy wtém potężny sęp wzbił się w powietrze z krzykiem przenikliwym, i dopiero poznał, że bujający w oddaleniu punkt białawy, który wziął zrazu za archiwistę Lindhorst, musiał być sępem, i nie mógł pojąć co się z archiwistą stało. Jednakowoż dla czegożby archiwista Lindhorst, w własnéj osobie, nie mógł w powietrze ulecić, pomyślał sobie Anzelm, kiedy widzę i czuję, że wszystkie te dziwaczne obrazy, i zjawiska świata

cudownego, jakie mi się ukazywały w snach jeszcze cudowniejszych, urzeczywistniły się teraz w najistotniejszéj części mojego żywota i dręczą mnie srodze. Lecz niech się co bądź stanie; ty żyjesz, ty napełniasz duszę moją ogniem pożerającym, piękna Serpentyno! ty tylko jedna ukoić potrafisz moje pragnienie dokuczające. Niestety! kiedyż znów będę mógł oglądać twoje prześliczne oczy, droga, najmilsza Serpentyno.“

Anzelm na cały głos wymówił te słowa, a jakiś głos tenorowy przerwał mu, mówiąc: „O to mi dopiero prawdziwie pogańskie imie.“ Uczeń obejrzał się, zobaczył jakiegoś człowieka wracającego z przechadzki, przypomniał sobie gdzie się znajduje, i szybko oddalił się mrucząc pod nosem: Byłoby to dla mnie prawdziwém nieszczęściem spotkać się teraz z rektorem Paulmann albo z rejestratorem Heerbrand!—Ani jednego ani drugiego nie spotkał.

WIECZÓR PIĄTY.

Pani radczyna Anzelmowa.—Cicero de officiis. Koty morskie *) i inna czereda. — Stara Liza.— Ekwipaż.

— Już to nic nie pomoże, ale z tego Anzelma nigdy nic nie będzie, mówił rektor Paulmann, wszystkie moje dobre rady i przestrogi są próżne. On się do niczego nie przykłada pomi-

*) Rodzaj małp z długiemi ogonami.

mo że przyjął nauki szkolne bardzo dobrze, a te, koniec końców, zawsze są podstawą wszystkiego. „Ale rejestrator Heerbrand odpowiedział filuternie i uśmiechając się tajemniczo: “ Zostaw mu tylko czas i przestrzeń, szanowny rektorze, to jest bardzo ciekawe stworzenie ten Anzelm, z niego można będzie zrobić cóś wielkiego, a kiedy ja mówię cóś wielkiego, to się ma znaczyć: sekretarza rzeczywistego, albo też może i Radcę dworu.

— Rad.... wyjąkał rektor, w najwyższém zadziwieniu i nie mógł słowa dokończyć.

— Cicho, cicho! mowił daléj Heerbrand, już ja wiem co ja wiem! od dwóch dni siedzi on u archiwisty Lindhorst, nad jego rękopismami, a wczoraj w kawiarni, ten ostatni powiedział mi: „Nastręczyłeś mi dzielnego młodzieńca, można z niego cóś zrobić,“ a teraz tylko pomyśl o wpływach archiwisty. Cicho, cicho, powiadam; zobaczym co to będzie za rok! —

Po tych słowach rejestrator wyszedł, zatrzymując na ustach tajemniczy swój uśmiech, i zostawił rektora oniemiałego z podziwienia i ciekawości, siedzącego w krześle jakgdyby do niego siłą czarodziejską był przykuty.

Ale rozmowa ta zupełnie inne wrażenie uczyniła na umyśle Weroniki. Już ja oddawna wiem, pomyślała sobie, że pan Anzelm jest człowiek młody, dowcipny i bardzo przyjemny, i że kiedyś zostanie czemś znakomitym. Ciekawa jestem czy też on mi doprawdy sprzyja! ale przecież ścisnął mię dwa razy za rękę pewnego wieczora kiedyśmy przepływali przez Elbę, a kiedy ze mną spiewał duet, rzuczał na mnie owe spojrzenie znaczące, które aż do głębi serca przenika. Tak, tak, pewna jestem że mnie kocha, ja..... Weronika poddała się zupełnie słodkim marzeniom o szczęśliwéj przyszłości, tak jak to czyni każda młoda dziewczyna. Była panią radczyną, mieszkała w pięknym domu przy ulicy Maurycego, albo przy ulicy Zamkowéj, albo w rynku nowym. — Kapelusik podług najostatniejszéj mody, i szal prawdziwy kaszmirowy, były jéj niewymownie do twarzy. Śniadała w wytwornym negliżu, i wydawała rozkazy kucharce. „Tylko strzeż się żebyś nie zepsuła tej potrawki, bo ona jest ulubioną pana radcy," — Modnisie przechodząc przez ulicę, lornetowali ją gdy siedziała w oknie, i wyraźnie słyszała ich mowiących: To piękna ko-

bieta, ta pani radczyna; uważasz jak ten czepeczek koronkowy ślicznie jéj do twarzy. — Pani tajna radczyna N.. przysyła swojego lokaja zapytując czy pani radczyna dworu nie życzy sobie wieczorem przejechać się do kąpieli Linka.

Raczysz pan oświadczyć moje uszanowanie pani Radczyni, i upewnisz ją że to mi wielką sprawia przykrość, iż nie mogę przyjąć jéj zaproszenia, będąc już wpierwéj zaproszoną do pani Prezydentowéj *....

Radca Anzelm który wyszedł bardzo rano, powraca w téj chwili, ubrany podług najnowszéj mody, a popchnąwszy sprężynę swojego złotego zegarka, i pocałowawszy swoją młodą małżonkę rzecze: „Jakże się masz moja kochaneczko? czy wiesz co ci przynoszę? „Tonem żartobliwym wymówił te wyrazy, i wyjął z kieszeni od kamzelki kolczyki zrobione jzk najmodniéj i sam je założył na miejsce dawnych! Ah prześliczne kolczyki, zawołała Weronika, i rzuciwszy robotkę pobiegła przed zwierciadło, podziwiać nowy kosztowny podarunek „ Co to jest zawołał rektor Paulmann głęboko zajęty czytaniem Cycerona *de officiis*, któremu omal z wykrzyknieniem książka z ręki nie wypadła „ Czy widziano kiedy podo-

bne paroxyzmy jakie ma Anzelm? Wszakże to uczeń Anzelm, który przeciwko swojemu zwyczajowi, przez kilka dni nie dał się widzieć, wszedł do pokoju, z wielkiém zadziwieniem i przestrachem Weroniki, gdyż dostrzeżono w nim zupełną odmianę. Mówił z tą pewnością, dotychczas obcą dla niego, o nowym zupełnie zawodzie swojego życia, który mu przed chwilą objawiono, i o świetnéj drodze która się przed nim otwierała, któréj mnóstwo ludzi nie domyślało się jeszcze. Rektor Paulmann, myśląc o tajemniczych zamysłach rejestratora Heerbrand, nie mógł przyjść do siebie z podziwienia. Nie zdążył jeszcze wymówić ani jednéj syllaby, gdy Anzelm wspomniawszy coś o pilném zatrudnieniu u archiwisty Lindhorst, i pocałowawszy Weronikę w rękę z wdziękiem i układnością, zniknął już oddawna. To był już pan radca, powiedziała Weronika i pocałował mię w rękę nie potknąwszy się, nie nadepnąwszy mi jak zwykle na nogę! Spojrzał na mnie tkliwie. Oh niezawodnie mi sprzyja! Weronika znowu oddawała się marzeniu; lecz zawsze zdawało jéj, że postrzega nieprzyjazne widmo, które stawało przed miłemi obrazami jéj przyszłego pożycia jako radczyny, i to widmo uśmiechało się szyderczo

mówiąc: „To są nierozważne i dziwaczne urojenia, a do tego kłamliwe; bo Anzelm nigdy nie będzie radcą, nigdy nie będzie twoim mężem; nie kocha cię, chociaż masz niebieskie oczy, piękną kibić i rękę białą i pulchną.“

Zimny dreszcz przebiegł ciało Weroniki, głębokie oburzenie zastąpiło miejsce wejrzeń uprzejmych, które sobie przesyłała w zwierciedle w swoim czepeczku koronkowym i z złotemi kolczykami; łzy puściły się z jéj oczu, i zawołała głośno: „Niestety! więc to prawda że on mię nie kocha, i że nigdy nie będę, panią radczyną.“ Głupstwa, romanse, glupstwa, romanse! zawołał Paulmann i wziąwszy kapelusz i laskę wyszedł gniewny. Tego tylko niedostawało, westchnęła Weronika, i rozgniewała się mocno na swoją siostrę, dziewczynkę dwunastoletnią, która nie zważając na to co się działo, nie odstąpiła swoich krosienek.

Jednakże już była blisko trzecia godzina, a zatém czas uprzątnąć pokój i przygotować stoliczek do kawy, bo panny Oster uwiadomiły, że odwiedzą swoją przyjaciołkę. Ale Weronika napróżno odsunęła stół, i sprzątnęła papiery z fortepianu, wyjęła ze szafki filiżanki i dzbanuszek do kawy; albowiem za stołem, na fortepianie, w szaf-

ce, w filiżankach, w głębi dzbanuszka, wszędzie widziała tę obmierzłą postać, która sardonicznie się uśmiechała, i wyrzucając iskry ze swoich pajęczych palcy, mówiła: „Naprożno! on nigdy nie będzie twojem mężem! nigdy nie będzie twoim mężem!“ I kiedy biedne dziewczę, przestraszone wstając od roboty uciekało na środek pokoju, taż sama postać, skupiona za piecem, w mgnieniu oka powiększała się, i ukazując bezecny nos tak długi jak ręka, wyła, ryczała: „Nigdy nie będzie twoim mężem. „Siostro, czy nie słyszysz ty nic, wołała drżąca Weronika, nie śmiejąc się dotknąć żadnego przedmiotu. Fanny wstała od krosien, i z postacią poważną i spokojną, rzekła: „Moja siostro co tobie jest dzisiaj? rozrzucasz wszystko na bok czego się tylko dotkniesz, ja ci pomogę.“ Ale już wchodziły ich wesołe przyjaciółki, a Weronika natenczas postrzegła, że rurę od pieca brała za widmo, a skrzypienie piskliwe źle zamkniętych drzwiczek, za groźne wyrazy. Ale, przeniknięona głębokim strachem, nie mogła tak prędko uspokoić się, aby jéj słabość którą zdradzały jeszcze bladość jéj twarzy i pomieszanie, uszła baczności przyjaciółek. Kiedy przerywając nagle rozpoczęte wesołe opowiadanie, nagliły Weronikę aby im powiedziała przy

czynę cierpienia, wyznała im, że dziwnym się oddała myślom i że nagle we dnie, przelękła się duchów. Tu opisała im z takiém życiem, małego szarego człowieka, którego widziała we wszystkich kątach izby, zawsze śmiejącego się i szydzącego, że panny Oster z obawą spoglądały do koła, i że wkrótce uczuły jakąś nie zwykłą niespokojność i obawę. W téj chwili Fanny wniosła dzbanek z wrzącą kawę, i wszystkie trzy, przypominając swoich duchów, nie mogły się nie śmiać ze swojego dzieciństwa. Aniela, tak się nazywała starsza panna Oster, była narzeczoną oficera, który właśnie był na wojnie, i od którego od dawna nie miano żadnych wiadomości, wszyscy byli pewni, że albo zginął, albo przynajmniéj był niebezpiecznie ranny.

Ta myśl pogrążała Anielę w najgłębszym smutku, ale dziś była wesołą do pustoty, dla tego Weronika nie mogła nie zadziwić się. Koch ma przyjaciółko, odpowie Aniela, nie sądź abym miała przestać kochać mojego Wiktora, i nie myśléć o nim choć przez chwilę! ale to właśnie powód mojé wesołości.—Oh mój Boże! Tak jestem szczęśliwa, bo mój Wiktor zdrów, i wkrótce zobaczę go kapitanem, i ozdobionego znakiem honorowym na który zasłużył swojém męztwem bez granic.

Głęboka rana, ale nie niebezpieczna w prawą rękę którą mu zadał pałaszem, huzar nieprzyjacielski, nie pozwalała mu pisać, a ciągłe przechodzenie jego pułku, jeszcze mu nie pozwala donieść mi o sobie; ale dziś otrzyma wyraźny rozkaz aby się wyleczył zupełnie nim znowu służyć zacznie. Wyjedzie jutro i w chwili wsiadania do powozu, otrzyma patent na kapitana.—Ale moja kochana rzecze Weronika, zkądże ty już wiesz o tém.... Nie żartuj ze mnie, odpowie Aniela, ale ty nic z tego nie uczynisz; bo dla ukarania ciebie, wyszedłby natychmiast z za zwierciadła mały szary człowiek, i pokazał ci swoje szkaradne oblicze! Nakoniec, nie mogę nie dać wiary nie którym rzeczom tajemniczym, ponieważ nie raz ukazały mi się w sposobie jawnym, powiedziałabym nawet w sposobie widocznym. A potém podług mnie nie zdaje mi się to być rzeczą zadziwiającą, nie podobną do wiary, ze są ludzie posiadający wzrok szczególniejszy, i że mogą nieomylnemi sposobami im znajomemi używać tego daru. W naszéj wsi jest staruszka która tę zdolność w wysokim posiada stopniu. Ona bynajmniéj nie przepowiada jak inne wróżki za pomocą kart, roztopionego ołowiu; lecz, po pewnych działaniach, którym jest obecną osoba szukająca rady, widziemy

w zwierciedle metalowém pomięszany zbiór postaci i szczególniejszych kształtów, które staruszka ci wyjaśnia i z których twarzy odpowiada na twoje zapytanie. Byłam wczora w wieczór u niéj, i od niéj to powzięłam te wszystkie wiadomości o moim Wiktorze, o których prawdzie nie wątpię ani na chwilę. „Opowiadanie to, nagle w duszy Weroniki obudziło myśl, pójść poradzić się staruszki, względem Anzelma i powziętych nadziei. Dowiedziała się że ta staruszka nazywała się Rauer, że mieszkała na odległéj ulicy, że ją tylko można było zastać we Wtorek, Środę i Piątek ale od siódméj wieczór do wschodu słońca i że lubiła aby osoba która ma interes przyszła sama.

Właśnie była Środa, i Weronika postanowiła niby pod pozorem odprowadzenia panien Oster, pójść do staréj, co też właśnie wykonała. Zaledwie pożegnała się z swojemi przyjaciołkami przy moście nad Elbą, szybko przebiegła bramę i wkrótce znajdowała się w ulicy ciasnéj i samotnéj, w końcu któréj, dostrzegła mały domek czerwony mieszkanie staruszki Rauer. Jakiś niepokój, a nawet tajemna trwoga, ogarnęły mimowolnie

jéj duszę, gdy stanęła przed jéj drzwiami. Nakoniec, zwyciężając swój wstręt, pociągnęła za dzwonek, drzwi się otworzyly i macając szukała po ciemnym korytarzu schodów które prowadziły na poddasze, pamiętna drogi wskazanéj przez Anielę. „Czy tu mieszka staruszka Rauer?" zawołała w pustém przejściu, widząc że nikt nie ukazał się jéj dotychczas. Ale całą odpowiedzią było przeciągłe i głośne miaukanie, i wielki czarny kot, który z zaokrąglonym grzbietem i z pływającym ogonem, szedł poważnie aż przed drzwi izby, które za drugiém miaukaniem już otworzono. „Ah moja córko, już jesteś? pójdź, wejdźże!" Tak mówiła postać która się do drzwi zbliżała; biedna Weronika, jak martwa stanęła postrzegłszy wysoką i wychudłą kobiétę w czarnych łachmanach! — Gdy mówiła, ruszała się jéj zagięta broda, krzywiły się usta bez zębów, ocienione nosem haczykowatym, jéj uśmiech zmieniał się w szpetny grymas, a jéj oczy kocie, płomieniste, zdawały się wyrzucać iskry przez ogromne okulary. Z pod gałgana różnokolorowego który okrywał jéj głowę, wychodziły włosy czarne, twarde jak sierć dzikiego konia; ale co jeszcze mocniejszą cechę nadawało jéj twa-

rzy i z nieprzyjemnéj, jaką się z razu ukazywała, przemieniało ją w obmierzłą, to dwa znaki od oparzenia, które przechodziły od lewego policzka przez wierzch nosa. Weronice zabrakło oddechu i krzyk który wydać chciała, aby ulżyć uciśnionéj piersi, zmienił się w głębokie westchnienie, gdy czarownicza porwała ją swoją kościstą ręką i wciągnęła do izby. W niéj wszystko ruszało się i słychać tylko było same miauczenie, pianie, piszczenie, krakanie, które nabawiało zawrotu głowy. Stara uderzyła pięścią w stół i zawołała: „Cicho, przeklęta hołoto!“ i natychmiast, małpy wgramoliły się jęcząc na wierzch łóżka, świnki morskie uciekły pod piec, kruk usiadł nad zwierciadłem, sam kot tylko, jak gdyby ta obelga jego się nie tyczyła, nie ruszył się z wysłanego krzesła, gdzie zajął miejsce jak tylko wszedł.

Kiedy wszystko ucichło, Weronika nabrała odwagi; mniéj się obawiała w izbie jak w ciemnym korytarzu, nawet czarownica sama nie wydawała jéj się tak obmierzłą. Teraz dopiero spojrzała do koła izby.

U sufitu wisiały powypychane rozmaite brzydkie zwierzęta, rozmaite sprzęty i dziwne narzę-

dzia leżały porozrzucane na ziemi, a na kominie widać było mały niebieskawy płomień, który czasem tylko błysnął kilką żółtawemi iskrami; ale wtenczas dawał się słyszéć głuchy szmer z góry, a szkaradne nietoperze, z twarzami ludzkiemi, uśmiechającemi się i skrzywionemi, przelatywały z ciężkością z jednéj strony na drugą, i czasem długie płomyki wznosiły się po murze osiadłym grubo sadzami, i słychać było krzyki przenikliwe i żałosne. Weronika, z przestrachu ani słowa wymówić nie mogła! Za pozwoleniem, moja mała panienko, rzekła stara uśmiechając się; a wziąwszy wielką miotłę, umaczała ją w miedzianéj misce, i pokropiła wnętrze komina.

Ogień przygasł, izba napełniła się dymem, i wszystko gęsta pokryła ciemność: stara poszła do przyległéj izby, a gdy wróciła z zapaloną świecą, Weronika nie widziała już ani zwierząt nie porozrzucanych sprzętów; było to tylko poddasze, ubogo umeblowane. Stara przybliżyła się i rzekła grzechocząc: „Wiem dobrze, czego chcesz, moja córko: założmy się, że tybyś chciała wiedzéć, czy Anzelm ożeni się z tobą jak zostanie radcą?“ Weronika zdziwiona zadrżała, ale stara mówiła daléj. Tyś mi już powiedziała o

wszystkiém w domu twojego ojca, kiedy maszyna od kawy stała na stole przed tobą; bo tą maszyną byłam ja, i nie poznałażeś mię? Posłuchaj mię moja córko! Porzuć tego Anzelma, to szkaradne stworzenie: on chodził po twarzach moich kochanych dziatek, małych jabłuszek z rumianemi policzkami, które wypadają z kieszeni kupujących i tocząc się wracają do mojego koszyka. On jest w zmowie ze starym (*); onegdaj rzucił mi w twarz swoje piekielne *aurum pigmentum*, i omal mię nie oślepił; jeszcze widać znaki oparzenia! porzuć go moje dziecko, porzuć! On ciebie nie kocha: bo głowę zajętą ma złotą jaszczurką, nie będzie nigdy radcą, bo hultai ze swojemi salamandrami, i chce ożenić się ze swoją jaszczurką; porzuć go, porzuć!

Weronika która posiadała stałość charakteru i która umiała władać swoją niewieścią obawą cofnęła się, i tonem poważnym, głosem pewnym, rzekła: „Słuchaj stara! powiedziano mi że posiadasz dar czytania w przyszłości; może zbyteczna ciekawość i pośpiech sprowadziły mię do ciebie, aby dowiedzieć się, czy Anzelm którego szacuję i kocham, będzie mo-

(*) Archiwistą Lindhorst.

im mężem. Ponieważ jak się zdaje, znałaś najskrytsze moje myśli, bezwątpienia łatwo ci było udzielić mi objaśnień, któreby mię były uwolniły z kłopotu; ale usłyszawszy twoje śmiechu godne potwarze o dobrym Anzelmie, już nic nie chcę wiedziéć. Bądź zdrowa!

Weronika chciała wyjść, ale stara rzuciła się jéj do nóg, płakała, jęczała i zatrzymując młodą osobę za suknię, zawołała: „Weroniko, nie poznajesz więc twojéj staréj Lizy, która cię tak często nosiła na swoich rękach, która pieściła się z tobą, i tak tkliwie kochała? Weronika zaledwie mogła wierzyć swoim oczom, bo, mimo podeszłego wieku i dwóch znaków oparzelizny które ją oszpecały, poznała swoją dawną piastunkę, która przed kilką laty znikła nagle z domu Paulmanna. Stara teraz w innéj stanęła postaci. Zamiast gałgana obrzydliwego który osłaniał jéj głowę, miała dość przyzwoity kornet, a spódnica w duże kwiaty, zastąpiła miejsce czarnych łachmanów; nakoniec ukazała się taką, jak niegdyś będąc w służbie u Paulmanna. Powstała i ściskając Weronikę w swojém objęciu: „Wszystko co ci powiedziałam, rzekła, może ci się wydawać, śmieszném, głupiém, ale niestety! wszystko jest prawdą. Twój Anzelm do-

kuczył mi nie mało, może mimowolnie: dostał się w ręce archiwisty Lindhorst, który chce oddać mu swoją córkę. Archiwista jest moim największym nieprzyjacielem i mogłabym ci opowiedziéć o nim wiele rzeczy, których nie zrozumiałabyś bez przestrachu. On jest mądry mężczyzna, ale ja jestem kobiéta mądra, i może dla tego właśnie...ale dość na tém! Widzę, że kochasz Anzelma, dopomagać ci będę ile tylko mojéj mocy, abyś go mogła zaślubić, i zostać szczęśliwą jak sobie życzysz.

—Ale, na imie nieba! powiedz mi Elżbiéto!— Cicho, moje dziécię, cicho, odpowie stara, wiem co chcesz powiedziéć: zostałam tém czém mię widzisz, ponieważ tak trzeba było, ponieważ nie mogło być inaczéj. Wróćmy do naszego interesu. Wiem sposób uleczenia Anzelma z jego miłości do zieloréj jaszczurki, i zrobienia z niego najprzyjemniejszego konsyljarza, i oddania go tobie; ale potrzebuję do tego twojéj pomocy.“ Mów otwarcie Elzbiéto, wszystko wykonam w świecie, bo niewypowiedzianie kocham Anzelma! wymówiła z cicha Weronika, głosem zaledwie zrozumiałym.“ Wiem moje dziecię, że ci nie zbywa na odwadze; napróżno, kiedy byłaś małą, chcąc uśpić cię, straszyłam cię upiora-

mi, właśnie wtenczas otwieralaś oczy chcąc je zobaczyć; chodziłaś śmiało bez świecy do najdalszego pokoju, i często odziewałaś się podwłośnikiem twojego ojca, aby straszyć dzieci z sąsiedztwa. Ale wróćmy do naszego interesu. Jeżeli stale postanowiłaś zwyciężyć za moją pomocą archiwistę Lindhorst i zieloną jaszczurkę, jeżeli niezmiennie przedsięwzięłaś nadać nazwisko twojego małżonka radcy Anzelmowi, wyjdź potajemnie, z domu ojca, przyszłéj nocy, która jest nocą porównania, o 11 godzinie, i przyjdź do mnie; zaprowadzę cię na krzyżową drogę, na wieś, nie daleko ztąd; przygotujemy wszystko co tylko będzie potrzebne, a jeżeli przypadkiem zobaczysz coś szczególnego, mniejsza z tém, nieprawda? A teraz dobra noc, moje dziecię; twój ojciec czeka na ciebie z kolacją.“

Weronika spiesznie się oddaliła, postanowiwszy stale, przyjść na umówione miejsce, w czasie nocy, podczas porównania dnia z nocą; bo pomyślała, Elzbiéta prawdę mówi; Anzelm schwytany w jakieś szczególne sidła, wyrzucę go z nich. Tak..tak, już go mam! już jest moim, i moim będzie pan radca Anzelm!

WIECZÓR SZÓSTY.

Ogród archiwisty Lindhorst i kilka żartobliwych ptaków. Doniczka złota. Pismo angielskie. Bazgranina. Głos niewidzialny.

Być może, rzekł sam do siebie, Anzelm, że likier żołądkowy przedoskonały, który może zbyt chciwie piłem u pana Conradi, był przyczyną dziwnych złudzeń które mię tak przestraszyły przy

drzwiach archiwisty Lindhorst. Dla tego już dziś ani kropli nie wypiję, i śmiało zwalczę wszystkie przeszkody które mi na drodze stawać będą.

Podobnież jak pierwszym razem, gdy przygotowywał się odwiédzić archiwistę, włożył do kieszeni swoje rysunki ręczne, swoje wzory pięknego pisma, swój tuż i pióra krucze starannie zatemperowane i już otwierał drzwi do wyjścia, gdy spostrzegł flaszeczkę żółtéj wody, którą mu dał archiwista Lindhorst. Wszystkie zadziwiające wypadki które mu się przytrafiły, tłumnie natychmiast przedstawiły się w jego umysle, i jakieś nieokreślone uczucie boleści i roszkoszy, rozdzierało jego duszę: „Niestety, czyliż nie dla obaczenia ciebie, przyjemna *Serpentyno* idę do archiwisty?“ Zdawało mu się w téj chwili że miłość Serpentyny mogłaby być nagrodą przykréj i niebezpiecznéj pracy którą miał przedsięwziąść; a ta praca nie była drobnostką, bo szło o przepisanie wszystkich rękopismów archiwisty Lindhorst.

Był pewnym że zaraz przy wejściu do jego domu a może już na ulicy, przytrafią mu się tysiące szczególnych wypadków. Nie myślał już o lik wo-

rze żołądkowym u Conradi, włożył prędko żółtą wodę do kieszeni, aby postępować zupełnie według przepisów archiwisty, gdyby stara jabłczarka znowu mu jaki grymas swéj twarzy pokazać ośmieliła się. I wistocie, ujrzał znowu wyciągający się ten nos haczykowy i te kocie oczy połyskujące się, przy kołatce we drzwiach będącéj, kiedy o dwunastéj godzinie w południe chciał ją wziąć w rękę! Nie namyślając się długo, wylał likwor na to oblicze nieszczęścia, które natychmiast wyrównało się i spłasczyło, przybierając postać guzika metalowego świetnego i wypolerowanego. Drzwi się otwarły, dzwonki bardzo przyjemnie ozwały się po całym domu: drlin...drlin, mój kuzyn, Cherubin—mój kuzyn drlin, drlin.—Ucieszony, wszedł na szerokie i piękne wschody przed nim będące i napawał się szczególną wonią, która dom cały napełniała. Przyszedlszy do przedsionka zatrzymał się niepewny: ujrzał tyle drzwi zadziwiającéj roboty, że nie wiedział do których zapukać; w tém ukazał się archiwista Lindhorst w szlafroku, i zawołał: „Na honor, cieszy mię to niewymownie panie Anzelmie, że nakoniec dotrzymałeś słowa; proszę cię pójdź za mną, muszę cię natychmiast zaprowadzić do mojéj praco-

wni. Przebiegł szybko przedsionek, i otworzył małe drzwi boczne prowadzące na korytarz.

Anzelm uradowany szedł za archiwistą; z kurytarza weszli do sali, czyli raczéj, do cudownéj cieplarni, bo, po obu stronach mury zdobiły aż do sufitów rzadkie rośliny, a nawet wielkie drzewa okryte liściem i szczególniejszemi kwiatami. Światło czarodziejskie i lśniące oświecało tę salę, a trudno było odgadnąć którędy wchodziło; gdyż okna nie można było dostrzedz. Anzelm spojrzawszy przez gęstwę roślin, i krzewistych drzew, zdawał się widziéć obszerne alee które się przedłużały wdali. Na posępném tle cyprysów, rysowały się wazony marmurowe, na których stały zadziwiające postacie, które wyrzucały fontanny kryształowe, a ich szemrzące wody spadały w lilje o srebrnych kielichach; jakieś nieznane głosy szemrały i sykały w tym czarującym lesie, a zefir co chwila sprowadzał i oddalał powiewy najmilszéj woni. Archiwista znikł, a Anzelm ujrzał tylko przed sobą olbrzymi pęk ognistych lilji. Zachwycony tym widokiem, i napawając się miłemi zapachy tego czarnoksięskiego ogrodu, Anzelm stał niewzruszony. W tém ze wszystkich stron słyszéć się dał śmiech, chichotanie drwiące, oraz cienkie głosiki które mó-

wiły: „Panie uczniu! zkądże to przychodzisz? dla czegoż się tak wystroiłeś panie Anzelmie? — Czy chcesz pogadać z nami? powiemy ci jakim sposobem babka zgniotła jajko, a chłopaczek miał plamę żółtą na niedzielnéj kamizelce. — Czy już umiesz nową arję którą cię uczy pan Staarmatz? Panie Anzelmie, panie Anzelmie, w istocie, jesteś bardzo śmieszny, w twojéj szklannéj peruce, i w twoich bótach ze sztylpami z bibuły. Ten śmiech, to chichotanie, bez przerwy dawały się słyszeć ze wszystkich kątów, zdawały się niekiedy odzywać tuż przy Anzelmie, który spostrzegł tylko, że jakaś mgła małych ptaszków unosiła się na około niego, i ścigała go swojemi uszczypliwemi żarcikami.

W téj chwili, postrzegł zbliżającą się ku sobie gęstwę lilji czerwonych, był to archiwista Lindhorst, którego szlafrok w kwiaty i w gałęzie czerwonę i żółte, zrazu go zaślepiły. Przebacz mi, rzekł, kochany panie Anzelmie, żem cię zostawił samego, ale przechodząc, chciałem zobaczyć mój piękny Cactus, który dziś w nocy powinien roskwitnąć. Ale, jakże ci się podoba mój mały ogródek? Ah mój Boże, zawołał Anzelm, tu wszystko jest tak piękne że wyrazić trudno, ale te małe ptaszki, żartują sobie niemiłosiernie

z mojéj mało znaczącéj osoby?..Cóż to za gadanina! zawołał wściekły archiwista obracając głos do najgęstszéj krzewiny. Natenczas wielka popielata papuga, spuściła się na gałęź myrtu, obok archiwisty będącą i spoglądając na niego z postacią dziwnie poważną, przez okulary które ściskały jéj nos zakrzywiony, wybełkotała te wyrazy: „Nie gniewaj się panie archiwisto, moi swawolnicy, jeszcze dziś figlują, ale pan uczeń sam stał się do tego powodem, bo...“ Cicho, cicho! krzyknął stary nauczyciel; cicho! znam ja oddawna tych psotników; ale mój przyjacielu; powinieneś ich surowiéj trzymać! Idźmy daléj, panie Anzelmie!

Archiwista przeszedł jeszcze kilka pokoi, szczególnym sposobem ozdobionych, a idący za nim Anzelm zaledwie mógł rzucić okiem na kosztowne sprzęty dziwacznego kształtu, i nainne osobliwości któremi dom był napełniony.

Nakoniec weszli do wielkiéj sali. Archiwista zatrzymał się z wzniesionemi w górę oczyma; i uczeń Anzelm miał czas nasycić się roskosznym widokiem jaki mu przedstawiła powabna prostota tego miejsca. Ozdoby ścian jasno niebieskich, unosiły dawne złotopienne drzewa palmowe, które rospościerały na sklepieniu swój liść ol-

brzymi, świetny jak szmaragdy. W pośrodku sali, na trzech sfinxach ulanych z ciemnego bronzu, stał porfirowy stół, a na stole doniczka złota prostego kształtu, od któréj Anzelm, jak tylko ją spostrzegł, nie mógł już oderwać swojego spojrzenia. Tysiące postaci zdawało się igrać w lśniących odbiciach na jéj powierzchni wygładzonéj i jaśniejącéj. --Nieraz widział i siebie samego, niestety—z rękami wyciągniętemi, pod bzem. Serpentyna wchodziła i schodziła z gałęzi drzewa i tkliwe na niego zwracała spojrzenia. Anzelm nie posiadał się już z radości. „Serpentyno --Serpentyno!“ zawołał głośno, a Lindherst archiwista obrócił się nagle ku niemu, i zapytał: „Co mówisz, mój szanowny panie Anzelmie!—zdawało mi się że sobie zadajesz pracę przyzywać moją córkę; ale ona jest w swoim pokoju na drugim końcu domu, i w téj chwili bierze lekcje fortepianu; idźmy daléj!...Anzelm bez zmysłów prawie postępował za swoim przewodnikiem; nic już nie widział, nic nie słyszał, kiedy nagle archiwista wziął go za rękę i rzekł: „Jesteśmy więc tu:“ Anzelm jakby ze snu przebudzony, postrzegł dopiero że się znajdował w izbie bardzo wysokiéj, któréj ściany były zapełnione rysunkami i książkami, i podobne zupełnie do zwykłych bibljotek

i gabinetów do nauki. W pośrodku stało wielkie biórko, przynim krzesło z wysłaną poręczą. Tymczasowo, tu pracować będziesz, rzekł archiwista Lindhorst. Późniéj może zaprowadzę cię do niebieskiéj bibljoteki, gdzie tak nagle wymówiłeś imie mojéj córki, ale to zobaczemy.... Teraz, chciałbym się przekonać czy zdolny jesteś wykonać tę pracę stosownie do moich życzeń, z całą starannością jakiéj wymaga jéj ważność.

Uczeń Anzelm odważył się na wszystko, i z wewnętrznem zadowoleniem dobył ze swojéj kieszeni swoje pismo i rysunki, przekonany że zachwyci archiwistę swoim talentem, ale ten zaledwie spojrzał na pierwszą stronicę, (był to wzór pisma angielskiego najgustowniéjszego) zaczął się uśmiechać dziwacznie i potrząsać głową; toż samo było przy najstępnéj karcie, tak, że aż krew występowała na twarz biednego Anzelma, i kiedy nakoniec ten uśmiech zmienił się w pogardliwy i szyderczy, nie mógł już wstrzymać swojego nieukontentowania: „Zdaje mi się że pan archiwista nie zadowolony z mojego słabego talentu?—Kochany panie Anzelmie rzecze archiwista Lindhorst, masz wyborne usposobienie do dobrego pisania; ale teraz, widzę dobrze, że powinienem więcéj liczyć na twoję gor-

liwość i dobre chęci jak na twoję zdolność, i prócz tego, może to być skutkiem nienajlepszych używanych przez ciebie potrzeb do rysunku i t. p.

Anzelm mówił wiele o znanéj swojéj zdolności, o tuszu chińskim, o piórach kruczych w najlepszym gatunku, a archiwista pokazał mu wzór pisma angielskiego i rzekł: „Osądź sam.“

Anzelm zobaczywszy stanął jak piorunem rażony, w téj chwili przekonał się jak jego pismo było mało warte w porównaniu z tamtém; żadnéj okrągłości w rysach, wszystkie miejsca grubsze za wysoko albo za nisko, żadnego stosunku między literami większemi i mniejszemi, nakoniec te zakręty, te cugi szkolnéj bazgraniny, psuły posłać całych wierszy, co pierwéj zdawały mu się tak pięknemi. „A prócz tego, mówił daléj archiwista Lindhorst, twój tusz jest nie trwały.“ Umaczał palec w szklance wody i prowadząc go lekko po kilku literach zniszczył nawet ich ślad. Uczeń Anzelm nie mógł ani słowa wymówić mniemał że mu ktoś gardło ściskał; stał trzymając w ręku swoją nieszczęsną kartkę, gdy ar-

chiwista parsknął ze śmiechu i rzekł. „Nie martw się o taką drobnostkę, panie Anzelmie; czego nie mogłeś aż dotąd uskutecznić, może wykonasz u mnie; a potem znajdziesz tu lepsze pismienne potrzeby od tych jakich dotąd używałeś; zacznij i nie trać odwagi."

Archiwista, przyniósł czarną płynną massę która dziwną woń rozlewała, pióra osobliwego koloru i dziwnie zatemperowane, i ćwiartę pargaminu rzadkiéj białości: potém podał mu z zamkniętéj szafy na klucz, rękopism arabski, i skoro tylko Anzelm wziął się do pracy, wyszedł z pokoju. —

Anzelm nie pierwszy raz kopjował pismo arabskie, a więc ta praca nie była dlań bardzo trudną.—Zkąd się te zakręty wzięły do mojego pięknego angielskiego pisma, pomyślał on to tylko archiwista Lindhorst wiedzieć może, ale niech umrę zawołał, to nie„moja ręka.

W miarę przybywania wyrazów na pargaminie, podwajała się jego odwaga i zdatność. I w istocie, pisał bardzo pięknie temi piórami i tajemniczy atrament spływał czarny jak kruk na pargamin

lśniący białością. Im z większą chęcią i usilnością pracował, tém więcéj znajdował upodobania i wdzięku w tém samotném miejscu i już nabrał zamiłowania do téj pracy, gdy z uderzeniem trzeciéj godziny, archiwista przywołał go do poblískiego pokoju, gdzie obiad już był zastawiony.

Przy stole archiwista był bardzo wesołym, wypytywał się o przyjaciół Anzelma, rektora Paulmann i rejestratora Heerbrand, i opowiadał, o ostatnim szczególniéj, mnóstwo żartobliwych awanturek. Anzelm zasmakowawszy w starém reńskiém winie które było u stołu, stał się rozmowniejszym jak zwykle. O czwartéj godzinie, wstał do pracy, i ta punktualność zdawała się podobać archiwiście. Jeżeli robota dość dobrze szła przed obiadem, teraz było zupełnie inacźéj; nie mógł sam pojąć ani szybkości ani lekkości swojéj ręki. Lecz także zdawało mu słyszéć z głębi serca wychodzący głos, który wyraźnie tak się odzywał do niego: Czyżbyś mógł pomyślnie co wykonać, gdyby *ona* nie napełniała twojego serca i myśli i gdybyś niewierzył w *nią* i w *jéj* miłość? Powiew lekki, bardzo lekki zdawał się przebiegać pokój

i kryształowemi dzwięki przemawiać te słowa: „Jestem przy tobie... przychodzę ci pomódz .. odważnie, bądź stałym, kochany Anzelmie; przychodzę ci na pomoc i będziesz moim!“ Kiedy słuchał w zachwyceniu tych rozkosznych dzwięków znaki rękopismu stawały się co raz wyraźniejsze. Potrzebował tylko patrzeć w oryginał. Zdawało mu się, że litery już dawniéj były nakreślone na pargaminie, i że tylko miał je napuszczać atramentem. Tym sposobem ciągle zajmował się pracą, otoczony tkliwém i pełém pociechy brzemieniem, a czasem owiany słodkim oddechem aż do chwili kiedy szósta godzina wybiła i archiwista wszedł do pokoju.

Zbliżał się do stołu z dziwnym uśmiechem, Anzelm powstał nie mówiąc ani słowa; archiwista patrzał na niego jeszcze ciągle z miną przez pół szyderczą; ale zaledwie spojrzał na pismo Anzelma, ściągnęły się wszystkie muszkuły jego twarzy i miejsce uśmiechu zastąpił wyraz twarzy uroczysty i poważny. Wkrótce wszystko w nim zmieniło się. Jego oczy które przed chwilą płomieniem pałały, zwróciły się do Anzelma z niewypowiedzianą słodyczą, lekki rumieniec okrasił jego blade lica, a ściśnione usta

na których ironja spoczęło, zdawały się otwierać z wdziękiem. Cała jego postać wzniosła się, stała się okazalszą; jego szlafrok rozwinął się na ramionach i piersiach, i przez siwe promienie włosów ozdabiających jego czoło wysokie i otwarte przechodziła opaska wązka ze złota.

Młodzieńcze, rzecze archiwista tonem uroczystym, młodzieńcze, nim ty powyślałeś, już odkryłem w tobie związki które cię wiążą z moim skarbem najdroższym, najświętszym! Serpentyna kocha cię, i dopełnisz tajemniczego przeznaczenia, któremu stawiają opór nieprzyjazne władze, jeżeli otrzymasz jéj rękę i ten nieoszacowany talizman, który cię od wszystkich sideł zachowa, jedném słowem, doniczkę złotą, dziedzictwo Serpentyny. Ale nie tak łatwo osięgnąć możesz to najwyższe szczęście. Sprawcy złego jednoczą się przeciw tobie, i tylko wewnętrzna siła, z jaką odtrącać będziesz ich napady, zdoła sama jedynie zachować cię od rozpaczy i nieszczęścia. Kiedy pracujesz tu, już uczysz się; wiara i wiadomości doprowadzą cię do tego bliskiego celu, jeżeli trwać będziesz w twojém przedsięwzięcia. Bądź wiernym téj którą nosisz w twojém sercu, téj która cię kocha, a zobaczysz za-

dziwiające czyny Złotéj doniczki i będziesz na wieki szczęśliwym. Bywaj zdrów! archiwista Lindhorst czeka cię jutro w południe w swoim gabinecie!—Bywaj zdrów!

Archiwista popchnął lekko ucznia Anzelma, i zamknął za nim drzwi, Anzelm znalazł się w sali jadalnéj, któréj jedne tylko drzwi, prowadziły na korytarz. Cały odurzony tém osobliwszém zjawiskiem, zatrzymał się przed drzwiami domu; nad nim otworzyło się okno, podnosi głowę.. był to archiwista Lindhorst, ten sam starzec w czarnym surducie, którego widział tylokrotnie. — Nad czém tak rozmyślasz, kochany Anzelmie, zawołał, założyłbym się, że rękopism arabski zawrócił ci głowę. Pokłoń się odemnie panu Paulmann, jeżeli go zobaczysz, i nie zapomnij przyjść jutro o saméj dwunastéj. Honorarjum za dzień dzisiejszy znajdziesz w prawéj kieszeni swojéj kamizełki.

Uczeń Anzelm w istocie znalazł w kieszeni wskazanéj piękny talar, ale to go bynajmniéj nie cieszyło. Nie wiem, rzekł sam do siebie, co z tego wyniknie; lecz chociażby to wszystko co się około mnie dzieje, było tylko złudzeniem i marą, ty dla tego piękna Serpentyno, zawsze będziesz

żyć w mojéj duszy, i wolałbym raczéj zginąć, niżeli się wyrzec ciebie, bo wiem, że myśl wieczną jest we mnie, i żadna władza nie przyjazna zniweczyć jéj nie zdoła. . . , A tą myślą jest miłość dla Serpentyny!

WIECZÓR SIÓDMY.

Jak Paulmann wypalił swoją fajkę i położył się w łóżko. Rembrand i Breughel piekielny. Zwierciadło magiczne i przepis doktora Ekstein na nie znaną chorobę.

Nakoniec Paulmann wytrząsnął swoją fajkę i rzekł: „Myślę, że już czas położyć się spać.‘ Zapewne, rzekła Weronika, któréj nie bardzo było przyjemnie, że jéj ojciec jeszcze nie był

włóżku; dziesiąta dawno wybiła. Zaledwie Paulman oddalił się do swego gabinetu, który mu służył razem za sypialnią, zaledwie oddech Fanny cięższy jak zwykle, ozuajmił że już śpi, Weronika która się także położyła, aby w nikim nie wzbudzić podejrzenia, wstała pocichu, ubrała się, zarzuciła mantylkę na siebie, i wyszła skrycie z domu.

Weronika od czasu jak mówiła z Elżbiétą, widziała tylko Anzelma, i nie mogła zrozumiéć tego sama, jaki głos tajemny powtarzał jéj bezprzestanie, że opór ucznia jest skutkiem wpływu nieprzyjaznéj osoby, która go w swych więzach trzyma; ale że ona te więzy mogła skruszyć, jeżeli tylko wezwie pomocy sztuki czarnoksięskiéj posiadającéj sposoby tajemnicze i potężne. Ufność jéj do staréj Elżbiéty powiększała się codziennie, zwolna słabiały wrażenia przestrachu i wstrętu, i jéj stosunki ze starą ukazywały jéj się jako odblysk romansowy niezwyczajności, która więcéj im jeszcze powabów nadawała. Z resztą, postanowiła niewzruszenie zwalczyć wszystkie niebezpieczeństwa, i chociażby nawet miano dostrzedz jéj nieobecność, przygotowaną była znieść

wszystkie ząd wypaść mogące nie przyjemne skutki, aby tylko doświadczyć wypadku od którego jéj szczęście zawisło.

Nakoniec nadeszła noc porównania dnia z nocą, noc fatalna, w któréj stara Elżbiéta przyrzekła jéj pomoc i pociechę; a Weronika przywykła oddawna do myśli swojéj nocnéj wycieczki czuła się pełną odwagi. Puste ulice przebiegała z szybkością strzały, nie zważając na gwałtowny wicher ryczący w powietrzu, i który twarz jéj zlewał dużemi kroplami deszczu. Dzwon z przyległéj wieży z głuchym jękiem wybił jedenastą godzinę, gdy Weronika cała przemokła zapukała do drzwi staréj. „Co, już przyszłaś, już przyszłaś moja mała! Czekaj, czekaj, zaraz wyjdę! „ zawołał głos z poddasza, i w kilka chwil stara, z koszykiem na ręku, w towarzystwie swojego kota, ukazała się przed drzwiami „Idźmy więc i wykonajmy to co jest potrzebném do dopełnienia dzieła, gdy noc jest przyjazna.“ Rzekła i uchwyciła zimną ręką drżącą rękę Weroniki, któréj oddała ciężki koszyk, zaś sama niosła kociołek, trójnóg, i łopatę. Gdy wyszły już na wieś, deszcz ustał, ale wicher wściekłość swą podwoił? tysiące głosów przeraźliwym piskim napełniało po-

wietrze; jęk okropny zstępował z obłoków, które gromadząc się w swoim szybkim biegu zasłaśniały wszystko gęstą pomroką. Ale stara postępowała krokiem pewnym: i prędkim i krzyczała głosem chrapliwym: „Poświeć mój mały,“ Natychmiast zaczęły się migać i krzyżować przed niemi niebieskawe błyski, i Weronika postrzegła, że to kot rzucał iskry i oświecał im drogę, robiąc tysiące skoków rozmaitych; za każdym razem kiedy wiatry wyć przestały, słyszała jego przeraźliwe mruczenie. Traciła oddech, tak jak gdyby lodowe dłonie wcisnęły się w jéj serce; ale przezwyciężając sama siebie, i przyciskając się do staréj, rzekła: „Niech się co chce stanie, trzeba dokonać dzieła! Otóż to mądrze powiedziano, odrzekła stara: bądź zawsze tak odważna jak teraz, a dam ci coś bardzo pięknego i w dodatku Anzelma!“

Nakoniec stara stanęła: „Już jesteśmy na miejscu! rzekła. Wykopała dół w ziemi, nasypała w niego węgli, a nad niemi ustawiła trójnóg i kociołek. Wszystko to odbyło się ze szczególniejszemi jestami. Kot bez przestanku kręcił się około niéj, z jego ogona tryskały iskry które zakreślały ogniste koło. Wkrótce węgle zaczęły się czerwienić i nakoniec niebieskawe płomyki wydobywały się z pod trójnoga—We-

ronika musiała zdjąć swoją mantylkę i zasłonę, nachyliła się przy staréj, która trzymała jéj ręce mocno ściśnione, wpatrując się w nią iskrzącemi oczyma. Tu nieznane przyprawy które stara wydobyla z koszyka i rzuciła w kociołek, (czy to były kwiaty, kruszce, lub cóś podobnego, nie można było rozróżnić), zaczęły się zwierać i burzéć. Stara puściła ręce Weroniki, schwyciła żelazną łyżkę którą mieszała pałające mieszaniny, i gwałtownie poruszała je, gdy tymczasem na jéj roskaz, Weronika miała patrzéć bez przerwy w wnętrze kociołka i myśléć o Anzelmie. Powtórnie stara wrzuciła do kociołka jakieś kruszce, promień włósów Weroniki z wierzchu głowy ucięty, i mały pierścionek który długo nosiła, wydając ciągle piskliwe i nie zrozumiałe krzyki, kiedy kot mrucząc, miaucząc ciągle i biegając, opisywał szybkie koła.

Chciałbym łaskawy czytelniku, abyś dnia 23 Września znajdował sią w podróży na drodze do Drezna, i żeby napróżno, na ostatniéj stacji gospodarz uprzedzający i grzeczny, zatrzymywał cię przy nadejściu nocy, przedstawiając ci, że burza była gwałtowna i wielki deszcz, i że zwykle rozsądniéj jest unikać przypadku w nocy, porównania dnia z nocą; nie zważając na to, żebyś od-

powiedział mu krótko: „Dam talara pocztyljonowi, i najpóźniej za godzinę będę w Dreznie, gdzie albo *pod Złotym Aniołem*, albo, pod *Helmeus*, albo pod *Miastem Nawnburg*, czeka mię dobra wieczerza, i wygodne łóżko. Kiedy tak w ciemności spieszysz w dalszą drogę, spostrzegasz w oddaleniu chwiejące się światło, z dziwnym blaskiem. Przybywszy bliżéj, widzisz ogniste koło, wpośrodku którego siedzą dwie postaci przy tyglu z którego wznoszą się, gęste kłęby dymu, a czasem różowe światło i miljony iskier. Właśnie w poprzecz drogi przechodzi ogień, konie rżą, uderzają w ziemię kopytem i wspinają się. Pocztyljon klnie i modli się—zacina biczem, konie ani kroku daléj nie chcą postąpić. Niechętnie wyskakujesz z powozu i biegniesz kilka kroków naprzód.

Widzisz wtenczas dokładnie młodą piękną dziewicę, w lekkiém nocném białém odzieniu, siedzącą nad tyglem. Burza rozwiązała sploty jéj włosów, i ciemne ich promienie unoszą się z lekka w powietrzu. Jéj oblicze anielskie oświecone zupełnie płomykami ognia które się wydobywają z-pod trójnoga; ale przejęta strachem, cała zlodowaciała, zbladła jak widmo, i w jéj osłupiałém spojrzeniu w jéj wzniesionych powiekach,

i w jéj otwartych ustach które napróżno wydać chcą krzyk żałoby, czytasz jéj trwogę i przestrach; załamuje konwulsyjnie nad głową swoje drobne ręce, jak gdyby wzywała swojego anioła stróża, aby zasłonił ją opieką swoją przed tłumem potworów które z piekieł wyjść miały, na to wszechwładne wyzwanie. W postaci klęczącéj, niewzruszoną jak posąg, widzisz ją przed sobą.

Naprzeciw niéj siedzi zgarbiona na ziemi wysoka i wychudła kobieta, z twarzą miedzianą, z nosem zagiętym, z oczyma kociemi, iskrzącemi się; z pod czarnego zawicia które zarzuciła na siebie, widać jéj nagie i kościste ręce, miesza tę piekielną zupę, śmieje się gwałtownie i krzyczy przeraźliwym głosem łącząc go z wyciem wiatrów.

Przekonany jestem, łaskawy czytelniku, że chociażbyś aż do téj chwili nie znał bojaźni, przekonany jestem, powtarzam, że na widok tego obrazu na sposób Rembrandta lub Breughela piekielnego, ale obrazu żyjącego, ruszającego się, włosy powstałyby ci na głowie; ale spojrzenie twoje nie mogące się oderwać od młodéj dziewicy zajętéj piekielną operacją, i wzruszenie elektryczne które drżeniem przejęło natychmiast twoje nerwy, zapaliło w tobie lotem błyskawicy

zuchwałą myśl zwalczenia tajemniczych potęg ognistego koła; w téj myśli znika twoja obawa, czyli raczéj myśl ta zrodziła się w samém łonie twojéj obawy i jéj winna była życie. Zdawało ci się, że ty sam jesteś jednym z tych aniołów opiekuńczych, których pomocy wzywała przerażona młoda dziewica, i sądziłeś, że najlepiéj uczynisz, dobywając z kieszeni pistolet i wystrzałem pozbawiając życia starą, bez żadnego processu.

Ale jeśli tymczasem gdy o tém rozmyślałeś, usta twoje mimochętnie wymówiły. „Hola!"" albo też: „Któż tam" albo: Co tam robicie. Pocztyljon zatrąbił, stara zwinęła się i stoczyła w swój kocieł, i w jednéj chwili wszystko znikło w gęstym dymie. Nie zapewniam czybyś był napotkał młode dziewczę, któréj czekałeś z zapałem, ale niezawodnie byłbyś zniszczył czary staréj baby, i zerwał ogniste koło w które nieroztropna Weronika wciągnąć się dała.

Ale ani ty łaskawy czytelniku, ani nikt, ni pieszo ni w powozie, nie przebywał téj drogi 23 Września, nocy sprzyjającéj czarom, i Weronika umierając ze strachu, oczekiwała przy kotle dopełnienia dzieła. Wkrótce usłyszała około siebie jęk, szum, usłyszała tysiąc straszliwych głosów ryczących i szczekających, ale nie

otworzyła oczu, czuła bowiem że na widok tych przedmiotów okropnych, przeraźliwych, które ją otaczały, mogłaby w jednéj chwili utracić rozum na zawsze. Stara przestała mięszać w kotle, para stawała się coraz przezroczystszą; nakoniec widać tylko było lekki płomień spirytusu winnego palącego się w głębi kotła.

Stara krzyknęła: Weroniko, moje dziecko, moja luba, spojrzyj teraz na dno! Cóż tam widzisz? cóż tam widzisz przecie?“ Ale Weronika nie mogła jéj odpowiedzieć, albowiem zrazu zdawało jéj się że wszystkie rodzaje nieznanych postaci przesuwały się w kotle i w krótce stawały się coraz wyraźniejszemi: a nagle z samego dna kotła wyszedł uczeń Anzelm, uśmiechając się do Weroniki podawał jéj rękę — Ona krzyknęła „Boże! to Anzelm! — to Anzelm!..“ Stara prędko odkręciła kruczek kotła, i strumień stopionego kruszczu rozlał się pryskając w małę formę którą na ziemi postawiła. Potem zrywając się nagle z ziemi i kołysząc z dzikiemi wykrzywieniami, zawoła: „Dobrze dokonane — Dziękuje mój mały! Dobrze pilnowałeś. — Huź! huź go ktoś idzie. . Ugryź go! — Ugryź go! O gluszający szelest dał się słyszę w powietrzu;

jak gdyby ogromny orzeł spuszczał się trzepocząc skrzydłami, i głos przerażający zawołał. „Héj! hej!“ hołoto! już koniec, koniec! — Daléj do domu, precz — precz!“ Stara rycząc upadła twarzą na ziemię, a Weronika zemdlała.

Gdy przyszła do zmysłów, już był dzień, leżała w swojém łóżku, a Fanny stojąc przyniéj, podawała jéj gorącą herbatę mówiąc „Co tobie jest moja siostro? Od godziny jestem przy tobie, a ty leżysz jakby w gorączce, nie poznajesz nikogo, a jękiem i wzdychaniem przestraszasz nas. Z twojéj przyczyny papa nie poszedł dziś na lekcję, i wkrótce przyjdzie tu z doktorem.

Weronika milcząc wzięła herbatę i gdy ją piła, okropne obrazy zeszłéj nocy przedstawiały się jéj oczom. „A więc to tylko cierpienia ciężkiego snu tak mię udręczały! — Jednakże wczoraj w wieczór, poszłam rzeczywiście do staréj, wczoraj było 23 Września.

Nie, nie, wczoraj już musiałam być słabą i wyobraziłam sobie to wszystko; a co było powodem słabości, to nieustanne przemyślanie nad Anzelmem

i nadtą starą kobietą która się mieniła być ubogą Elżbietą i tylko naśmiewała się ze mnie.“

Fanny, która wyszła, wraca trzymając w ręku mantylkę Weroniki, całą przesiąkłą wodą. „Patrz siostro, burza otworzyła w nocy okno, i obaliła krzesło na którém leżała twoja mantylka, zapewne deszcz musiał padać przez okno i dla tego cała zmoczona!“ To było nowe zmartwienie dla Weroniki, przekonała się bowiem teraz że nie czcze marzenie ją udręczało, ale że w istocie była u staréj. Zgroza i obawa ją przejęły i dreszcz febry wzruszył jéj ciało. Strętwiała i drżąca, chciała obwinąć się, kiedy nagle uczuła coś twardego na piersi co ją gniotło; dotknąwszy się ręką, mniemała że to był medaljon. Gdy Fanny wynosiła mantylkę, Weronika wyjęła przedmiot swojéj ciekawości: było to małe zwierciadełko okrągłe, z kruszczu, dobrze wypolerowane. „Otóż podarunek starej!“ zawołała z żywością, i zdawało jéj się że z tego zwierciadła wynikały świetne błyski, które przejmowały ją aż do serca i napełniały je ciepłem łagodném i dobroczynném, febra przeminęła, i jakieś niewysłowione uczucie szczęścia i spokojności po niej nastąpiło. Trzeba jeszcze jéj by-

ło pomyśléć o Anzelmie, i kiedy z całą mocą wszystkie myśli o nim jednoczyła, nagle tenże sam Anzelm, uśmiechał się do niéj ze zwierciadła, jak obraz w miniaturze. Ale wkrótce nie był to już potret, nie, ale sam Anzelm w swojéj osobie.—

Siedział on w wysokiéj izbie ozdobnie umeblowanéj i pisał usilnie. Weronika chciała zbliżyć się do niego, uderzyć go w ramię i powiedziéć: panie Anzelmie, spojrzyjże przecie, ja tu jestem! ale niepodobna było to uskutecznić zdawał się bowiem być otoczonym świetną ognistą rzeką, a gdy Weronika lepiéj się przyjrzała, były to tylko wielkie księgi ze złoconemi brzegami. Lecz nakoniec udało się Weronice zwrócić na siebie wejrzenie Anzelma, i zdawało jéj się zrazu, jak gdyby potrzebował długo przypatrywać się jéj nim ją poznał, nakoniec, uśmiechnął się i rzekł: Ah to ty—kochana panno Paulmann? ale co za myśl przyszła ci przebierać się czasem za małą jaszczurkę?" Na to dziwaczne zapytanie, Weronika rozśmiała się głośno; potém ocknęła się jak gdyby ze snu głębokiego, i nagle ukryła swoje zwierciadełko, gdyż drzwi się otworzyły i Paulmann wszedł do pokoju z dokto-

rem Ekstein. Doktor zbliżył się natychmiast do łóżka, dotykał się pulsu Weroniki, długo ; z postacią mocno rozważającą, nakoniec rzekł: „Eh, eh!" Napisał receptę, wziął znowu rękę choréj, dotykał się pulsu, powtórnie powiedział: „Eh! eh!" i pożegnał chorą.

Ale, po tym „eh! eh!" doktora Ekstein, Paulmann nie mógł domyśléć się co było istotnie Weronice.

WIECZÓR ÓSMY.

Bibljoteka palmowa.—Historja nieszczęśliwego salamandra. Jak czarne pióro zakochało się w buraku, jakim sposobem upił się rejestrator Heerbrand.

Już oddawna, uczeń Anzelm pracował u archiwisty Lindhorst, godziny które tam przepędzał były najszczęśliwszemi godzinami jego życia; gdyż zawsze otoczony był tajemniczemi i peł-

nemi pociechy śpiewami Serpentyny, często nawet w przelocie jéj oddech dotykał się ust jego, uczuwał w sobie jakąś nieznaną przyjemność, która nie raz była dla niego powabem najdoskonalszéj roskoszy. Wszystkie troski, wszystkie potrzeby jego dość nędznego bytu, znikały z jego umysłu, i w nowém istnieniu które się wzniosło dla niego, jak dobroczynne słońce, pojmował wszystkie cuda świata wyższego, na który niegdyś spoglądał tylko z zadziwieniem, a nawet ze strachem; kopjował z największą łatwością, bo przeświadczał się coraz bardziéj, że przepisywał tylko na pargaminie pismo oddawna mu znajome, i że potrzebował tylko spojrzéć na oryginał, aby to wszystko przenieść z jak największą dokładnością. Prócz godzin obiadowych, archiwista Lindhorst rzadko przychodził, ale za każdym razem wtenczas tylko ukazywał się, gdy Anzelm kreślił ostatnie litery rękopismu, podał mu inny, i oddalał się natychmiast, nie powiedziawszy ani słowa, jednakże wprzód zamieszał atrament czarną laseczką, i w miejsce piór któremi pisał Anzelm, dał mu nowe i dobrze zatemperowane. Pewnego dnia w południe, gdy Anzelm wszedł na schody, drzwi któremi zwykle wchodził były zamknięte; i z innéj strony, ukazał się archiwi-

sta Lindhorst w swoim dziwacznym szlafroku' który zdawał się być posianym jaśniejącemi kwiaty, i zawołał głośno: „Kochany Anzelmie, dziś wejdziesz tędy; bo musiémy pójść do pokoju, gdzie nas oczekują panowie Rrhogovotgita. Wyszedł z korytarza i prowadził Anzelma przez te same sale i te same pokoje, które pokazał mu pierwszym razem. Uczeń na nowo podziwiał wspaniałość cudownego ogrodu, ale dziś widział jawnie, że niektóre kwiaty nieznane, błyszczące na czarném liściu krzewin, były tylko rojem owadów bogato upstrzonych, które wzruszały skrzydełkami, i które obracając się bezustannie i krążąc, zdawały się pieścić z sobą. A przeciwnie wszystkie te ptaki różowe i niebieskie były pachnącym kwiatem, a woń którą wydawały, wznosiła się z ich kielichów w dźwiękach łagodnych i słodkich, które łączyły się z szmerem odległych wodotrysków, z szelestem wysokich roślin i drzew i tworzyły zgodne brzmienia pełne namiętności i melancholji. Ptaki naśmiewające się, które go pierwszym razem dręczyły i dokuczały mu, dziś latały około jego uszu, i wrzeszczały głosikiem cienkim i przenikającym: Panie Anzelmie, nie spiesz się tak! — Nie wpatruj się tak w obłoki — bo mógłbyś zbić nos, — Héj, héj, panie ucznia! —

włożno swój podwłośnik—moja koleżanka sowa zawinie cię i ufryzuje. Te i tym podobne zabawne głosy, słyszał bez ustanku, dopóki nie wyszedł z ogrodu.

Nakoniec archiwista Lindhorst wszedł do pokoju jasno niebieskiego; nie było już porfiru i *złotéj doniczki*. W tym samym miejscu stał stół przykryty kobiercem z aksamitu fioletowego; Anzelm znalazł na nim wszystko co potrzebne do pisania; krzesło z tylną sporą, obite tak samo jak stół, zdawało się tylko czekać na niego: „Kochany panie Anzelmie, rzecze archiwista Lindhorst, aż dotychczas skopjowałeś niejeden rękopism prędko, dokładnie, i z mojém zupełném zadowoleniem; pozyskałeś sobie moję ufność, ale jeszcze najważniejsza rzecz zostaje do wykonania: idzie tu o przepisanie czyli raczéj o przeniesienie niektórych dzieł pisanych odrębnemi znakami, które zachowuję, w tym pokoju, i które tylko na tém samém miejscu mogą być kopjowane. Będziesz odtąd pracował tu; ale zalecam ci jak największą baczność i rozsądek; fałszywy rys, lub (niech cię niebo od tego zachowa), najmniejsza plamka atramentu na orygmale, pogrążyłyby cię w nieszczęście. Anzelm uważał, że z pni złotych drzew palmowych, wychodziły listki szma-

ragdowe. Archiwista Lindhorst wziął jeden z nich, a Anzelm postrzegł, że ten listek był zwitkiem pargaminu, który archwista otworzył i rozłożył na stole.

Anzelm przypatrywał się z nadzwyczajném zadziwieniem tym znak om pokrzywionym w spo sób tak dziwaczny; i na widok tylu kropek, liníji, cugów i załamań, które już zdawały się wyobrażać rośliny, już mchy, już postaci zwierząt zaczął tracić odwagę. Rozmyślał głęboko. „Smiało, młodzieńcze! zawołał archiwista: jeżeli masz prawdziwą wiarę, miłość prawdziwą. Serpentyna ci do pomoże! „Głos jego rozległ się jak brzmiący kruszec, i gdy Anzelm przelękniony, podniósł oczy, postrzegł archiwistę w tejże saméj postaci, w jakiéj ukazał mu się podczas pierwszéj wizy ty w bibljotece. Widok ten takiém przejął go uszanowaniem, iż mniemał że najmniéj powinien rzuceniem się do jego nóg, oddać mu swoją cześć, lecz archiwista Linhorst, wspiął się po pniu palmowym i znikł wpośród liści szmaragdowych.

Uczeń Anzelm nie wątpił, że rozmawiał z władcą jenjuszów, który teraz udał się do swojego

gabinetu, ażeby dać posłuchanie promieniom wysłanym przez niektóre planety, w charakterze ambassadorów, i naradzić się z niemi co wypadło czynić we względzie Anzelma i przyjemnéj Serpentyny. — J to być może jeszcze, pomyślał uczeń że przybyły jakie wiadomości od źródeł Nilu, albo jaki mędrzec Lapoński przyszedł go odwiedzić — Co do mnie, powinienem natychmiast zająć się pracą; i zaczął zastanawiać się pilnie nad znakami szczególnego kształtu, skréślonemi na pargaminie,

Cudowna muzyka ogrodu dochodziła do niego i otaczała go wonią przyjemną, słyszał nawet rozmawiające żartobliwe ptaki, ale nie rozumiał ich słów, co mu największą sprawiało przyjemność.— Raz mniemał że słyszy szmer szmaragdów drzew palmowych, to znów rozlegający się po pokojach odgłos dźwięcznych dzwonów kryształowych, które w dniu pamiętnym, dla niego nieszczęsnym, słyszał pod bzem. Anzelm, zachęcony tém brzmieniem i blaskiem, wpatrywał się w pargamin z wzrastającą uwagą, i wkrótce (jakby ostrzeżony głosem z głębi jego duszy pochodzącym) uczuł, że hieroghfy rękopismu mogły zawierać w sobie tylko znaczenie tych wy-

razów: *O weselu Salamadry i o zielonéj żmijce.*

Nagle słyszéć się daje zgodny brzęk dzwonów kryształowych — Z pośród liści zefir przynosi mu te słowa: „Anzelmie, drogi Anzelmie!“ lo cudzie! widzi zstępującą kręto po pniu palmowym żmijkę zie loną — „Serpentyno! piękna Serpentyno!“ zawołał Anzelm obłąkany szczęściem, albowiem przyglądając się jéj bliżéj, była to piękna i zajmująca dziewica; były to te niebieskie oczy, które oddawna napełniały jego duszę szczęściem i trwogą, a młoda dziewica spoglądając nań z tkliwością niewysłowioną, unosiła się w powietrzu zbliżając się do niego. Liście zdawały się zniżać i rozszerzać; wszędzie z łodyg wystawały długie kolce, ale Serpentyna z taką zręcznością sunęła się, ciągnąc za sobą swoją długą perłową suknię, że przebyła te wszystkie kolce nie zaczepiwszy się ani razu. Usiadła na krześle Anzelma, obok niego, objęła go swoją ręką, przycisnęła do siebie; uczeń chciwie chwytał każdy oddech jéj ust i ciepło elektryczne jéj ciała. „Drogi Anzelmie, rzecze Serpentyna nakoniec nie zadługo będziesz moim, twoja wiara, twoje przywiązanie zapewnią ci posiadanie

mnie, i ja przyniosę ci *doniczkę złotą*, która nas na wieki uszczęśliwi.“ O czarująca, prześliczna Serpentyno, odpowie Anzelm, jeżeli ciebie posiadać będę, cóż mię reszta obchodzi? Abyś ty tylko moją była, chętnie życie moję utracę w pośród tych wszystkich zjawisk które mię otaczają; od chwili kiedy cię po pierwszy raz ujrzałem! Wiem dobrze, rzecze daléj Serpentyna, że te wszystkie nieznane ci dotąd zjawiska, które ci nasyłał często kaprys mojego ojca, przejęły trwogą twoją duszę, ale spodziewam się, że to już ci się więcéj nie przytrafi, bo przybyłam tu w téj chwili, aby ci powierzyć kochany Anzelmie z najdrobniéjszemi szczegółami, wszystko co potrzeba abyś wiedział, chcąc poznać dobrze mojego ojca, i zrozumiéć dokładnie styczność, jaką mają te wszystkie rzeczy z nim i ze mną.

Anzelmowi zdało się, że Serpentyna tak go ścisnęła i tak silnie swojém roskoszném ujęła objęciem, że sam nie mógł się poruszyć, i że tylko bicie jéj serca uczuwał w sobie: słuchał z uwagą, a każde jéj słowo odzywało się w głębi jego duszy i podobne do czystego promienia światła, niosło w jego serce wszystkie niebios roskosze. Ujął swojém objęciem jéj kibić, wysmuklejszą aniżeli ten wyraz opisać nam może, ale tkanina mieniąca i

świetna jéj sukni była tak śliską i gładką, że Anzelm mniemał iż mogłaby wysunąć się z pod jego ramienia i oddalić, a on nie byłby wstanie zatrzymać jéj; na tę myśl zadrżał. Ah, nie opuszczaj mię, piękna Serpentyno! mimochętnie zawołał, ty jesteś życiem mojém, nie opuszczaj mię! „Nie oddalę się, dopóki ci nie opowiem wszystkiego co możesz zrozumiéć, w zbytku twojéj ku mnie miłości, odpowie Serpentyna. „Dowiedz się więc przedmiocie ukochany, że mój ojciec pochodzi z zadziwiającego rodzaju Salamandr, i że życie moje winnam miłość jego dla zielonéj żmii.

„W czasach najodleglejszych, panował w Atlantydzie potężny Fosforus, władca jeńjuszów żywiołu. Pewnego dnia, salamandr, ten którego on najbardziéj kochał, (był to mój ojciec) przechodząc się po wspaniałym ogrodzie który matka Fosforusa ozdobiła najdroższemi dary, usłyszał jak kwiat lilji mówił z cicha: „Nie otwieraj oczu, dopóki cię nie obudzi mój kochanek, ranny powiew.“ Zbliżył się; a kwiat dotknięty jego pałającym oddechem, otworzył swoje liście i on spostrzegł córkę kwiatu lilji, zieloną żmijkę, spoczywającą w srebrzystym kielichu. Wtenczas salamandr uczuł gwałtowną miłość do pięknéj

żmijki, i porwał ją z kielicha lilji, która napróżno rozlewała swoją woń w westchnieniach żałosnych, i przyzywała ukochanéj córki po całym ogrodzie. Salamandr bowiem zaniósł ją na łono Fosforusa, z tą odzywając się prośbą. Połącz mię z ulubioną, aby nazawsze do mnie należéć mogła. „Nierozważny, czego żądasz.“ rzekł władca jeńjuszów, wiedz że lilja, była niegdyś moją kochanką, że panowała ze mną; ale ogień którym ku niéj pałałem zagrażał jéj zniszczeniem, i moje zwycięztwo nad czarnym smokiem którego jeńjusze ziemi trzymają teraz okutego, może tylko nadać moc liściom kwiatu lilji przyjęcia i zachowania w swojém łonie tego pożerczego ognia. Ale jeżeli uściśniesz w twojem objęciu zieloną żmijkę, twój zapał zniszczy jéj ciało, a z jéj popiołów wyjdzie nowe jestestwo które wzleci w powietrze i bezpowrotnie oddali się od ciebie.“

Salamandr nie słuchał bynajmniéj ostrzeżeń władcy jeńjuszów; w zbytku namiętności uścisnął w objęciu zieloną żmijkę: zamieniła się w popiół, a z tego popiołu powstało nowe stworzenie skrzydlate, które trzepocząc się w powietrzu uleciało. Rospacz ogarnęła Salamandra, biegał po całym ogrodzie, ziejąc ogniem i płomieniem do-

póty nie ugasił wściekłości, dopóki nie zniszczył go całego; najpiękniejsze kwiaty, dotknięte jego palącym oddechem umierały na swoich łodygach, napełniając jękiem powietrze. Władca jeńjuszów, rozgniewany pochwycił Salamandra i rzekł. Wściekłość twojego ognia wyczerpana, zgaszone twoje płomienie, teraz strącam cię pomiędzy duchy ziemskie, niech cię dosięgną ich szyderstwa, zostaniesz ich jeńcem dopóty, dopóki początek ognia nie obudzi się w tobie, i nowym blaskiem nie rozjaśni twojego odrodzonego istnienia. Biedny Salamandr padł na ziemię, gdy stary gnom który był ogrodnikiem Fosforusa przypadł do niego i rzekł: „Panie, któż miałby większe prawo użalać się na Salamandra? czyli to nie ja ozdobiłem najbogatszemi kruszczami te wszystkie piękne kwiaty które on poniszczył? czyliż to nie ja czuwałem i pielęgnowałem starannie ich nasiona, i pozbawiłem się dla ich szat najpiękniejszych barw moich? A jednakże wstawiam się za biednym Salamandrem, bo tylko miłość, miłość sama, któréj nie raz panie władzy doświadczałeś, była pobudką, iż w rozpaczy zburzył twój piękny ogród. Odwołaj więc okropny wyrok.— Ognie jego już zgaszone na teraz, odpowiedział

władca jeńjuszów, ale w tych czasach niedoli kiedy głos natury głuchym będzie dla wyrodzonego ludzi rodzaju, kiedy jeńjusze żywiołów wypędzone i oddalone w swoje państwa, przemawiać tylko będą do śmiertelnych dźwiękiem czczym i tajemnym z niezmierzonéj dali pochodzącym, kiedy wyrwany z téj hermonijnéj sfery, w niezmiernéj żądzy odzyska ciemne i niepewne wspomnienie tego cudownego państwa, które wolno mu było zamieszkiwać, wtenczas gdy miłość i ufność miały siedlisko w jego sercu; w tym nieszczęśliwym czasie, początek ognia roztli się w salamandrze, ale już nie będzie się mógł wznieść nad stan człowieka, i musi przyjmując nędzne życie śmiertelnych, doznawać także wszystkich jego goryczy. Lecz nie tylko odzyska wspomnienie swojego pochodzenia; odżyje on w świętéj harmonji z przyrodą, pojmie jéj cuda, i władać będzie mocą swoich braci jeńjuszów. Znajdzie znowu w gęstwie lilji swoją kochankę, żmijkę zieloną, a owocem ich związku będą trzy corki które się ukażą światu w postaci ich matki. W wiośnie bawić się będą w ciemnych liściach bzu, i będzie można słyszéć ich głosy kryształowe. Jeżeli się natenczas znajdzie w téj epoce

nieszczęsnego zaślepienia młodzieniec, który zrozumie ich śpiew, jeżeli jedna z małych żmijek spojrzy na niego okiem łagodném, to spojrzenie obudzi w nim przeczucie odległéj i tajemnéj krainy, do któréj mógłby go wznieść jego odwaga, gdyby odrzucił wszystko coby w nim było pospolitego, i gdyby w swojej miłości dla żmijki, w znalazł w sobie szczérą i gorącą ufność w cuda natury i swój własny byt w tych cudach, żmijka będzie należéć do niego. Ale trzeba koniecznie aby się znalazło trzech podobnych młodzieńców, którzyby poślubili trzy jego córki wpiérw nim Salamand zrzuci postać człowieka i nim odzyska swoich braci.' Pozwól panie, rzecze stary gnom, ażebym każdéj z tych trzech córek ofiarował podarunek, który upiękni jéj życie i małżonka którego znajdzie. Każda otrzyma odemnie doniczkę z najpiękniejszego kruszczu jaki tylko mam wygładzę ją promieniami wziętemi djamentowi; w jéj połysku, odbijać się będzie nasza cudowna ojczyzna, taka jaką jest teraz, świetna, niebieska, w zgodzie z całą przyrodą; a z wnętrza jéj, w chwili związku, wzniesie się piękna, ognista lilja, któréj kwiat wiecznie rozkwitły rozlé-

wać będzie woń swoją, około uwielbianego młodzieńca. Wkrótce zrozumie on naszą mowę i cuda nsszéj ojczyzny, i stanie się nakoniec wraz z swoją ulubioną, mieszkańcem szczęśliwéj Atantydy.

„Teraz kochany Anzelmie, wiesz bardzo dobrze, że mój ojciec jest salamandrem którego ci opowiedziałam historję. Pomimo swojego szlachetnego rodu, musiał uledz wszystkim cierpieniom zwyczajnego życia, i z téj to przyczyny jego humor złośliwy i dziwaczny często daje się uczuć otaczającym go. Nieraz mówił mi, że na oznaczenie usposobienia umysłów, jakich natenczas wymagał Fosforus w naszych małżonkach, używają dziś wyrażenia którego nieszczęściem ludzie dziś szyderczo nadużywają, nazywając je umysłem poetyczno dziecinnym. Często, mówił on, widziano ten umysłu ludzi młodych, którzy przez wysoką prostotę obyczajów i przez brak zupełny tego co nazywają wychowaniem świata, stali się bajką i pośmiewiskiem hałastry. Niestety! kochany Anzelnie... Ale ty zrozumiałeś mój śpiéw pod bzem.. kochasz żmijkę zieloną. — ufasz mi, i chcesz być moim na zawsze! Piękna lilja zakwitnie w doniczce złotéj, będziemy połą-

czeni i szczęśliwi, i zamieszkamy w pięknéj Atlantydzie.

„Ale nie mogę zataić przed tobą, że w straszliwéj walce przeciw salamandrom i gnomom czarny smok skruszył swoje kajdany, i z wielkim łoskotem uleciał w powietrze. Prawda że Fosforus, znowu go trzyma na uwięzi, ale z czarnych piór które utracił w boju, powstały złowrogie jenjusze, które wszędzie stawiają opór salamandrom i gnomom. Kochany Anzelmie, ta kobieta która cię ściga swoją nienawiścią i która (mój ojciec wie o tém dobrze,) wzdycha do posiadania doniczki złotéj, winna swój byt, miłości jednego z tych piór, wypadłych ze skrzydła smokowi, które się zakochało w buraku. Zna ona swój początek i czuje swoję władzę, bo w ryku i w konwulsyjnych wysileniach spętanego smoka, może czytać tajemnicę niejednéj cudownej konstellacji, i nie zaniedbuje żadnego srodka działania z zewnątrz na wewnątrz; kiedy tymczasem mój ojciec opiera się jéj w kierunku odwrotnym, płomieniami wychodzącemi z wnętrza salamandra. Zbiera ona wszelkie pierwiastki szkodliwe, wszelkie trucizny jakie się mieszczą w zwierzętach i

roślinach, mięsza je pod wpływem przyjaznéj konstellacji, i tworzy tym sposobem szkodliwe leki, które w umyśle szerzą pomięszanie i trwogę, i poddają człowieka w moc czartowi którego wydał na świat smok pod czas swéj porażki. Strzeż się téj staréj, kochany Anzelmie, ona cię nienawidzi, ponieważ twoja dziecinna niewinność nie raz już zawiodła wszystkie jéj czary. — Bądź mi wiernym, — bardzo wiernym, — cel już niedaleki!

— O Serpentyno! moja Serpentyno! zawołał uczeń Anzelm, jakże mógłbym nie być ci wiernym, jakże mógłbym nie kochać cię wiecznie?

Ognisty pocałunek dotknął ust jego, ocucił się jakby z snu głębokiego, Serpentyna znikła; szósta godzina biła, zmartwiony był, że nie przepisał ani jednego wiersza, niespokojny co na to powie archiwista, rzucił okiem na pargamin, i, o cudzie! kopja tajemniczego rękopismu byłą skończoną, i sądził przyglądając się bliżéj, że napisał opowiadanie Serpentyny o nieszczęściach jéj ojca, ulubieńca króla Fosforusa w cudownym kraju Atlantydy.

W téj chwili wszedł archiwista Lindhorst, ubrany w swój szaroblękitny surdut, w kapeluszu

na głowie, z laską w ręku; przebiegł oczyma kopję Anzelma, wziął duży niuch tabaki, i rzekł uśmiechając się. Byłem pewny! -- No! oto sześć franków, panie Anzelmie; teraz pójdźmy do kąpieli Linka, pójdź tylko za mną.

Archiwista przeszedł szybko ogród, w którym taki był hałas śpiewów piszczałek i szczebiotań, że uczeń Anzelm został nim prawie ogłuszony, i podziękował niebu gdy się ujrzał na ulicy. Zaledwie uszedłszy kilka kroków; spotkali rejestratora Heerbrand, który połączył się z niemi jak stary znajomy. Przed bramą miasta, nałożyli fajki; rejestrator skarżył się, że nie miał krzesiwka, kiedy archiwista zawołał mimowolnie: Po co krzesiwka? — oto macie ogień, tyle ile potrzeba.... To mówiąc uderzył palcami i sypnęły się z nich duże iskry na fajki, które natychmiast zapaliły się. Patrzcie państwo, jaka sztuka chemiczna, rzekł rejestrator Heerbrand; ale uczeń Anzelm nie bez przerażenia tajemnego pomyślał o Salamandrze.

W łaźni Linka, rejestrator Heerbrand pił tyle piwa dubeltowego, że chociaż go znano za człowieka spokojnego i cichego, zaczął śpiewać dość

chrapliwym głozem, i pytał z uniesieniem każdego, czy jest jego przyjacielem lub nie? i że nakoniec, uczeń Anzelm musiał go zaprowadzić do domu, kiedy archiwista Lindhorst znikł już od dawna.

WIECZÓR DZIEWIĄTY.

Jak uczeń Anzelm wrócił cokolwiek do rozumu.— Poncz.—Jak uczeń Anzelm wziął rektora Paulmanna za puhacza, i jak ten się o to rozgniewał:— Plama atramentowa i jéj skutki.

Dziwne i cudowne wypadki które się codziennie wydarzały Anzelmowi, oddaliły go zupełnie z okręgu pospolitego życia: nie widywał już żadnego z swych przyjaciół, i co rano niecier-

pliwie oczekiwał południowéj godziny, która mu miała otworzyć bramy nieba. A jednak, chociaż cała dusza jego napełniona była wdziękami Serpentyny i cudami państwa wróżek, u archiwisty Lindhorst, mimowolny zwrot obudzał w nim niekiedy myśl o Weronice. Często nawet zdawało mu się, że się do niego zbliża, i wyznaje mu zarumieniona, ile go kocha! potém widział ją usiłującą wyrwać go widmom, którego tylko drażniły i żartowały z niego. Niekiedy zdawało mu się, że czuje siłę nieznaną która nagle porywała go i niosła ku biednéj opuszczonéj i nie mogąc oprzéć się, szedł za tą potęgą dziwaczną jakby był przykuty do młodéj dziewicy.

Nawet w nocy, po pierwszym widzeniu Serpentyny, pod postacią nadobnéj dziewicy i kiedy odkrytą mu została tajemnica związku Salamandra z zieloną żmiją, Weronika ukazała mu się wyraźniéj niż kiedykolwiek. Tak! dopiero obudziwszy się ujrzał jasno, że marzył, sądząc że Weronika stoi przed nim; Weronika we łzach, uskarżająca się, że ją poświęcił próżnym widmom, które tylko w jego głowie istniały, i które staną się przyczyną jego nieszczęścia. We-

ronika była bardziej niż kiedykolwiek zachwycającą; z trudnością mógł jéj obraz z myśli swojich oddalić, i ta walka sprawiała mu przykrą boleść, którą spodziewał się rozproszyć ranną przechadzką.

Czarodziejska, nieznana potęga, prowadziła go ku bramie Pirny. Już właśnie miał zamiar zboczyć z głównéj drogi, kiedy za nim dał się słyszéć głos rektora Paulmann:—„He! hola! łaskawy panie Anzelmie! *amice*! *amice*! na miłość boską co się z tobą dzieje? nie widać cię nigdzie; czy nie wiész że Weronika umiera z chęci spiewania z tobą? Pójdź więc, ponieważ idziesz ku memu mieszkaniu!“ Anzelm musiał pójść za rektorem. Kiedy weszli do domu, Weronika w ubiorze bardzo wykwintnym, wyszła na ich spotkanie; pan Paulmann zdziwiony, zapytał: — „A to po co ten ubior? czy spodziewałaś się czyich odwiedzin patrz, przyprowadzam oto pana Anzelma“ Uczeń Anzelm, całując rękę Weroniki z wdziękiem i składnością, uczuł lekkie uściśnienie téj ręki, które przebiegło jak ogień, po całém jego ciele. Weronika była samą radością i ukontentowaniem, i kiedy Paulmann udał się do swego gabinetu,

potrafiła rozmaitemi psotami i pieszczotami, tak zawrócić głowę biédnego Anzelma, że niedługo zaczął biegać i skakać po całym pokoju, razem z młodą figlarką.

Ale szatan niezgrabności opanował go, trącił stół i zrzucił z niego koszyk od roboty Weroniki. Anzelm podniósł go, otworzył, i oczy jego padły na małe zwierciadełko metalowe, w którém zaczął przeglądać się z wielkiém zadowoleniem. Weronika lekko stanęła za nim: położyła rękę na ramieniu młodzieńca i zaczęła także patrzéć w zwierciadło. Wtedy zdawało się Anzelmowi że w duszy jego powstaje jakaś walka: — myśli — obrazy — powstawały i nikły jak błyskawice, archiwista Lindhorst — Serpentyna, — żmijka zielona; — nakoniec to wzruszenie uspokoiło się; i kiedy wszystko wróciło do porządku, niepewność jego znikła. Ujrzał jasno, że nie przestał ani na chwilę myśléć o Weronice, że widmo które mu się ukazało dniem pierwéj w lazurowéj sali, było nią samą, że fantastyczna historja zaślubin salamandry i małéj zielonéj żmji, była przez niego przepisaną, lecz że jéj nigdy opowiadanéj nie słyszał. Sam się zadziwił nad swemi marzeniami, i przypisał je wzburzeniu

wyobraźni, którą zapalała jego miłość dla Weroniki, jak równie pracy, jaką miał u archiwist-Lindhorst, w salach napełnionych wonnemi kadzidłami; śmiał się serdecznie z szalonéj myśli kochania się w zielonéj żmii i wzięcia poczciwego archiwisty za salamandrę. „Tak! tak! — to Weronika!“ zawołał głośno; ale odwracając głowę oczy jego spotkały się z błękitnemi oczyma Weroniki, w których miłość błyszczała. Przytłumione westchnienie wymknęło się z jéj ust, które za chwilę ognistém pocałowaniem połączyły się z ustami młodzieńca: — „Oh, jakżem szczęśliwy zawołał Anzelm; to co wczoraj snem tylko było, dziś staje się dla mnie najsłodszą rzeczywistością.“

— J ty ożenisz się ze mną jak zostaniesz konsyljarzem? zapytała Weronika.

— O, tak! odpowiedział Anzelm; wtém skrzypnęły drzwi, i wszedł pan Paulmann mówiąc.

— Kochany Anzelmie, tym razem nie tak cię prędko wypuszczę; zostaniesz u nas na obiedzie a potém Weronika da nam doskonałéj kawy, którą będziemy pili razem z rejestratorem Heerbrand bo mi przyrzekł że dziś przyjdzie do mnie.

— Ależ szanowny i kochany panie Paulmann odrzekł Anzelm, czyż nie pamiętasz pan że powinienem pójść do archiwisty Lindhorst, i pracować nad jego rękopismami?

— Patrz, *amice*! odpowiedział rektor, pokazując mu zegarek, który wskazywał w pół do pierwszéj. Anzelm przekonał się, że już zapóźno byłoby iść do archiwisty, i przyjął zaproszenie rektora, tem chętniéj, iż spodziewał się zyskać kilka chociaż spojrzeń Weroniki, uściśnień skrytych jéj ręki, a może i jedno przynajmniéj pocałowanie. Do tego punktu wznosiła się ambicja Anzelma, i dobry humor jego, wracał w miarę jak obiecywał sobie, że wkrótce uwolniony będzie od wszystkich przesadzonych widziadeł, które go tak pięknie postawiły na drodze do szaleństwa.

Rejestrator Heerbrandt, przyszedł istotnie po obiedzie, i po kawie, kiedy wieczór się zbliżał, rzekł zacierając ręce z uśmiechem, że ma przy sobie coś, co przyozdobione wdzięcznym głosem Weroniki, stanie się bardzo przyjemną rozrywką długiego wieczoru.

— Pokażże ten tajemniczy przedmiot, szanowny rejestratorze, rzekł rektor Paulmann, a rejestrator włożył rękę w olbrzymią kieszeń swe-

go surduta, i wydobył w trzech razach, butelkę araku, cytryny i cukier. W pół godziny, wyborny poncz parował na stole pana Paulmann. Weronika nalewała szklanki, a żywa rozmowa powstała między przyjaciołmi.

Ale zaledwie para ponczu napełniła głowę Anzelma, wszystkie dzikie, cudowne obrazy, które mu się od niejakiego czasu zjawiły, tłumnie zajęły myśli jego. Ujrzał archiwistę Lindhorst w szlafroku adamaszkowym, błyszczącym jak fosfor; ujrzał pokój lazurowy, i palmy złote: zdawało mu się, że powinien wierzyć Serpentynie; wszystko przewracało, się gotowało się w jego duszy. Weronika podała mu szklankę ponczu; biorąc go dotknął z lekka jéj ręki.—„Serpentyno, Weroniko, westchnął z cicha. Wpadł w głębokie dumanie; ale w tém zawołał rejestrator Heerbrand:

— Jest to i będzie zawsze dziwny człowiek, ten archiwista Lindhorst, nikt go nie zdoła zrozumieć. Ale, niech żyje! zdrowie jego; do patna, panie Anzelmie.

Młodzieniec nagle ocknął się z swoich marzeń i trącając szklanki z rejestratorem, rzekł:

— To ztąd pochodzi szanowny panie rejestratorze, że pan Lindhorst prawdę mówiąc, jest sa-

lamandrem, który w przystępie gniewu, zniszczył ogrody króla jeńjuszów Fosforusa! dla tego że zielona żmija uciekła.

— Co?... co waszeć mówisz? zapytał rektor Paulmann.

— Tak, mówił daléj uczeń Anzelm, dla tego to został zmuszony być archiwistą i żyć skromnie w Dreznie, z swemi trzema córkami, które prawdziwie są młodemi złoto-zielonemi żmijami które grzeją się się na słońcu w pośród gałęzi, bzu, i wabią młodych ludzi łudzącym śpiewem, jak syreny.

— Panie Anzelmie! panie Anzelmie! zawołał gospodarz; co znaczy na miłość boską śmieszny monolog który nam deklamujesz?

— On ma słuszność! rzekł przerywając rejestrator Heerbrand; ten archiwista jest przeklętym salamandrem; z jego palcy sypią się iskry które mi wypaliły dziurę w rękawie, jakby to uczynił kawałek hubki,—tak, masz słuszność bracie Anzelmie, a kto temu nie wierzy, ten jest moim nieprzyjacielem, To mówiąc pan Heerbrand uderzył silnie pięścią w stół, aż się zatrzęsły szklanki.

— Czyś zmysły postradał rejestratorze! zawołał pan Paulmann,

— Pan znowu, mówił Anzelm, tym samym co poprzednio tonem, jesteś tylko ptakiem, puhaczem, panie rektorze!

— Co? ja ptakiem, puhaczem! zawołał rektor w gniewie. Czyś pan zmysły postradał, oszalał.

— Ale stara wlizie mu na kark! zawołał znowu rejestrator.

— Tak, stara jest potężna, choć niskiego rodu, bo jéj ojciec jest piórem z skrzydła smoka, a jéj matka burakiem; władzę swoję winna ona tym wszystkim zatrutym, nieprzyjaznym istotom i rzeczom któremi się otacza.

— To jest potwarz niegodziwa! zawołała Weronika, z oczami błyszczącemi gniewem. Stara Elżbieta jest zacną kobietą, a jéj czarny kot nie jest istotą nieprzyjazną, zatrutą, owszem jest to młodzieniec bardzo dobrze wychowany, przyjemny, dobrych obyczajów, i do tego jéj krewny.

— A czy zdoła on połknąć salamandrę nie opaliwszy sobie wąsów? zapytał rejestrator Heerbrand.

— O tego uczynić nie może, zawołał Anzelm, a ja jestem kochany przez zieloną żmiję, bo mam serce dziecięce i widziałem oczy Serpentyny.

— Tak! tak! czarny kot je wydrapie! wołała Weronika.

— Salamandr — salamandr wszystkich zwycięży! wyjąkał w największym gniewie rektor. Cóż u licha czy jestem w szpitalu warjatów? Co znaczą głupie wyrazy które wymówiłem? tak! ja sam, ja sam jestem warjatem!

Zerwał się z swego krzesła, chwycił perukę z głowy i rzucił o sufit, pukle jéj zgniecione wydały jęk boleśny i spadając w zupełném zniszczeniu, roztoczyły gęsty tuman pudru. Na ten widok, uczeń Anzelm i rejestrator Heerbrand porwali wazę poncza i rzucili ją pod sufit z okrzykami radości; rozbite kawałki rozleciały się na wszystkie strony. — „Niech żyje salamandr! — zguba staréj! — stłucz zwierciadło metalowe! wydrap oczy kotu! — eheu! — eheu! niech żyje salamandr! — Wszyscy trzéj wołali jak szaleni. Fanny uciekła płacząc, a Weronika padła na sofę wydając krzyki boleści i trwogi.

W téj chwili drzwi się otworzyły, nastąpiło głębokie milczenie, ujrzano wchodzącego czło-

wieka okrytego krótkim szarym płaszczem. Postać jego miała coś szczególnie poważnego, a nos zakrzywiony i ojuczony dużemi okularami, odznaczał się między wszystkiemi nosami w całym świecie. Prócz tego, miał perukę tak śmiesznie ufryzowaną, że podobną była do czuba u dudka. Dobry wieczór całemu towarzystwu, grzechotnął mały człowiek, czy tu nie znalazłbym pana Anzelma? Pan archiwista Lindhorst zasyła mu swoje ukłony; naprożno cały dzień dziś czekał, ale prosi pana Anzelma, żeby do niego przyszedł jutro o zwykłej godzinie „To rzekłszy, wyszedł; a wszyscy jasno ujrzeli, że ten poważny człowieczek był szarą papugą

Rektor Paulmann i rejestrator Heerbrand roześmieli się tak głośno że aż cały pokój zadrżał, podczas gdy Weronika płakała i wzdychała; ale tczeń Anzelm, przejęty szaloną trwogą, wybiegł spiesznie nie wiedząc co czyni, i zaczął biedz przez ulicę. Machinalnie znalazł swoje mieszkanie; zaledwie wszedł do swego pokoju, ujrzał Weronikę, która przyjaźnie i z słodyczą zapytała go dla czego ją tak przestraszył. Prosiła go żeby nigdy nie pił nad miarę, i żeby strzegł się swo-

ich marzeń, jak będzie pracował u archiwisty Lindhorst. — „Dobranoc mój przyjacielu, dobranoc! rzekła nakoniec, dotykając ust Anzelma tkliwém pocałowaniem. Chciał ją uścisnąć, ale widziadło znikło; obudził się zdrów i wesoły.

Smiał się serdecznie z skutków ponczu; ale myśląc o Weronice, czuł najsłodszą radość. Jéj to saméj, mówił, winienem uwolnienie się od moich śmiesznych przywidzeń; trzeba przyznać że nie byłem mędrszym od tego warjata, który sądził że jest ze szkła, albo od tego drugiego który bał się wyjść z domu aby go kury nie zjadły, sądząc że jest ziarnem pszenicy. Ale jak tylko zostanę konsyljarzem, ożenię się natychmiast z panną Paulmann i będę szczęśliwym.

Przechodząc po południu przez ogród archiwisty Lindhorst, nie mógł pojąć dla czego w tym ogrodzie, wszystko mu się zdawało dawniéj nadzwyczajném, cudownérn. Teraz widział tylko zwyczajne wazoniki z kwiatami, mnóstwo myrtów, jeranji i zamiast ptaków szyderczych, które go dręczyły, tu i owdzie postrzegł wróbli, którzy odzywali się niezrozumiałem świergotaniem. Pokój niebieski także mu się zdawał teraz zupełnie innym, nie mógł pojąć, jakim sposobem ten

pospolity błękit, te pnie palm, pozłocone wbrew zdrowemu rozsądkowi, mogły mu się dawniéj podobać.

Archiwista spojrzał nań z usmiechem ironicznym i zapytał:

— A co, kochany Anzelmie, jakże ci wczoraj poncz smakował?

— Ah! zapewne papuga... odpowiedział Anzelm zawstydzony, ale uciął nagle; w istocie pomyślał sobie, zjawienie się papugi było złudzeniem moich zmysłów.

— Ja przecie sam tam byłem, rzekł archiwista, czy mię widziałeś? Ale w pośród waszych wszystkich igraszek, omało nie zostałem ciężko raniony, bo siedziałem w wazie ponczu, w chwili kiedyście ją rzucili pod sufit; zaledwie miałem czas uciec do fajki rektora. Teraz do widzenia panie Anzelmie! --Bądź pilnym; dostaniesz twoje sześć franków za wczorajszy dzień, ponieważ dotąd pracowałeś bardzo pilnie.

— Jak też on może takie głupstwa gadać, pomyślał Anzelm siadając do przepisywania rękopismu, który archiwista rozłożył przed nim jak zwykle. Ale zobaczył na tym nowym pargaminie tyle linji krzywych pokręconych i poplątа-

nych z sobą, że na pierwszy rzut oka, osądził niepodobieństwem przerysować je wiernie.

Chciał jednakże uczynić to ile możności jak najlepiéj. Walecznie umaczał pióro w kałamarzu, ale pióro nie chciało pisać; niecierpliwy, sądząc, że atrament nie spływa, potrząsnął piórem, i,—o nieba! ogromna kropla atramentu splamiła pargamin. Niebieskawa błyskawica wytrysła z plamy, świsnęła, zaszumiała, i wężykiem, trzeszcząc powiła się po pokoju aż pod sufit. Wtedy gęsty dym wysiąpił bałwanami z murów, liście zaczęły szeleścić, tysiące bazyliszków zstąpiło w pośród ognia, zapaliło dymy, i wkrótce massy ognia toczyły się w około przerażonego Anzelma. Złote pnie palm stały się ogromnemi wężami które z dźwiękiem metalowym uderzały o siebie wzajemnie, i obwijały biednego Anzelma łuszczkowemi swemi kręgami.

— Bezrozumny! odbierz karę twojego szalonego występku! krzyknął przerażającym głosem salamandr ukoronowany, który ukazał się w pośród płomieni, po nad wężami, jak promienista gwiazda. Smoki, rozwartemi paszczami wyrzuciły na Anzelma potoki płomienia, który zdawał się zgęszczać w około jego ciała i zmieniać się w massę stałą zimną jak lód. Ale podczas kie-

dy członki jego zmniejszały się i kurczyły, Anzelm zemdlał. Wróciwszy do przytomności, nie mógł się ruszyć; otoczony był połyskającą przezroczystością, o którą tłukł się ile razy chciał podnieść rękę albo zmienić położenie.

Niestety!....siedział on w butelce kryształowéj dobrze zatkanéj, na stoliku, w bibliotece pana Lindhorst.

WIECZÓR DZIESIĄTY.

Cierpienia Anzelma w butelce. — Szczęśliwe życie uczni. — Walka w bibljotece archiwisty, — Zwycięstwo salamandra i uwolnienie Anzelma.

Słusznie nie spodziewam się łaskawy czytelniku, żebyś był kiedykolwiek zamknięty w butelce jeżeli złośliwy sen nie umieścił cię kiedy w tém przykrém położeniu. Gdyby ci się to

jednak zdarzyło, uczułbyś w całém znaczeniu, przykrości i cierpienia Anzelma. Ale chociażby ci nigdy nie śniło się nic podobnego, niech twoja wrząca wyobraźnia, przez grzeczność, dla Anzelma i dla mnie, na kilka chwil postawi cię w tém więzieniu kryształowém. Sciśniony ciasno pomiędzy przezroczystemi szlifowanemi murami, widzisz wszystkie przedmioty w około, ozdobne kolorami tęczy.—Wszystko drży, chwieje się i miga przed tobą w potokach światła, nie ruszając się, pływasz jakby w zmarzłej massie eteru, który się za tobą zamknął, naprożno duch twój rozkazuje ciału. Ciągle i coraz bardziéj cięzka, ogromna massa ciśnie twe piersi,—twój oddech palący szybko strawił nieco powietrza które ożywiało jeszcze twe ciasne mieszkanie;—twoje żyły nabrzmiewają, i rozdzierany okropną obawą, każdy twój nerw drga walcząc z śmiercią.

Ulituj się, szlachetny czytelniku, nad biédnym Anzelmem, który w swojéj butelce doświadczał tych nie dających się wysłowić cierpień, i tym bardziéj był nieszczęśliwym, ponieważ czuł, że śmierć nie zdoła go uwolnić, bo zrana, kiedy słońce przyjaznėm i słodkiém światłem oblało bibljotekę, obudził się z głębokiego snu w którym go pogrążył zbytek nieszczęść i męczarnie jego

na nowo się rozpoczęły. Nie mógł poruszyć swoich członków, ale myśl jego uderzała o kryształ, a w głowie, w miejscu rozsądnych wyrazów które nie raz przez usta jego przechodziły, znajdowała się tylko głucha wrzawa szaleństwa.

Wtedy zawołał w rozpaczy: „O Serpentyno! Serpentyno! uwolnij mię z tych męk piekielnych! I jakby lekkie westchnienia poruszyły powietrze w około niego, te westchnienia zaokrągliły się w około butelki, stały się jako liście bzu zielone, przezroczyste, szelest ustał, lśniący blask ustał, a Anzelm odetchnął wolniéj. „Nie jestżem ja sam przyczyną całego mego nieszczęścia? Niestety! obraziłem cię złośliwie, nadobna Serpentyno! powziąłem niegodne powątpiewanie o twojéj bytności; straciłem wiarę, a z nią to wszystko co miało mię uczynić najszczęśliwszym z ludzi. Niestety! nie zechcesz już być moją, doniczka złota stracona dla mnie na zawsze, nie będę już nigdy widziéć jéj cudów! Niestety! raz tylko chciałbym cię jeszcze ujrzéć, raz tylko usłyszéć twój głos słodki i melodyjny, zachwycająca Serpentyno!

Tak użalał się Anzelm w swojéj przykréj boleści, kiedy wtém, usłyszał w pobliskości wymó-

wione te słowa: „Niepojmuję wcale czego chcesz i dla czego żalisz się tak strasznie.“ — Anzelm spojrzał w około i postrzegł na tym samym stoliku pięć jeszcze butelek a w każdéj z nich siedział człowiek — „Ah! panowie, drodzy towarzysże niedoli, zawołał, nie pojmuję jak możecie być tak spokojnemi, nieledwie powiedziałbym wesołemi, sądząc z waszych twarzy? a jednak jesteście zamknięci, tak jak ja, i nie możecie się ruszyć. Zapewne nie wierzycie w salamandra i w zieloną żmiję.

Zartujesz chyba kolego, rzekł jeden z zamkniętych uczni; nigdy nie bawiliśmy się lepiej, jak teraz; bo talary archiwisty, które nam dawał za przepisanie różnych głupstw jego, otwierają nam do wszelkich rozrywek drogę; nie potrzebujemy nic się uczyć; chodziemy co dzień do kawiarni, albo zasiadamy przy kuflu dubeltowego piwa, swawolemy z dziewczętami i spiewamy całém gardłem *Gaudeamus igitur*, czegóż więc mamy się smucić.?

— Ten pan ma słuszność, odezwał się inny mieszkaniec flaszki, który był kancelistą sądowym; ja także jestem naładowany talarami i dla

tego bawię się zamiast bazgrać przeklęte wyroki.

— Ależ, szanowni i łaskawi panowie, rzekł Anzelm, czyliż nie czujecie że każdy z was zamknięty jest w butelce szklannéj, i nie może się ruszyć, a tém bardziéj biegać po kawiarniach.

Na te słowa, mieszkańcy butelek rozśmieli się głośno, wołając:—Ten człowiek jest obłąkany, zdaje mu się że siedzi w butelce, a tymczasem on stoi na środku mostu na Elbie, i patrzy na wodę. Pójdźmy ztąd!—

— Niestety! westchnął Anzelm, ci nigdy nie musieli widziéć pięknéj Serpentyny, nie znają rozkoszy życia, miłości, dla tego też nie czują przykrości zamknięcia w butelce, gdzie ich salamandr umieścił, zapewne karząc ich głupstwo; ale ja nieszczęśliwy umrę z boleści, jeśli ta którą kocham, nie uwolni mię.

Głos Serpentyny ozwał się cicho temi słowy: „Anzelmie Anzelmie!—Kochaj, — wierz,--miéj nadzieję! — A każde z tych słów jak promień swiatła przenikało do więzienia Anzelma. Stan jego stawał się z każdą chwilą mniéj przykrym przekonał się że Serpentyna kocha go jeszcze,

i że mu uczyni znośnym teraźniejszy pobyt jego. Nie zajmował się już swemi towarzyszami niedoli i myślał tylko o Serpentynie. Ale nagle w drugim końcu pokoju, powstał szelest głuchy i nieprzyjemny. Anzelm dostrzegł zaraz że ten szelest pochodzi z staréj maszynki od kawy, która stała na przeciwko niego na małym bufecie. Patrząc z większą uwagą, ujrzał kształcące się coraz bardziéj obrzydłe rysy staréj zmarszczkami pokrytéj baby; po chwili, stanęła przed nim postać jabłczarki z czarnéj bramy. Wykrzywiała się i śmiała wołając głosem skowyczącym: Ho, ho, mój zięciu! — mówiłam ci nie raz że wpadniesz w kryształ! Przepowiedziałam ci, wszak prawda?—

— Śmiéj się póki chcesz, stara czarownico, odpowiedział uczeń Anzelm, ty sama jesteś przyczyną mojéj niedoli; ale nie ujdziesz salamandrze, przeklęty buraku!

— No, no, zawołała stara, nie bądź tak dumnym! uczyniłeś mi wiele złego zalałeś mi się porządnie za skórę, a jednak życzę ci dobrze; bo zawsze byłeś przyjemnym młodzieńcem, moja córka także cię lubi. Ale upewniam cię nie wyjdziesz z téj butelki, jeśli ja ci na pomoc nie

przyjdę; nie mogę wprawdzie dostąpić do ciebie, ale mój kum kot, który mieszka nad tobą na suficie, pogryzie deskę na któréj stoisz, i spadniesz tutaj, a ja podstawię fartuch żebyś spadając nie stłukł sobie nosa i nie uszkodził twojéj pięknéj twarzyczki; potém zaniosę cię prędko do panny Weroniki, i ożenisz się z nią jak zostaniesz konsyljarzem.

— Idź do czarta, przeklęta czarownico, zawołał Anzelm z gwałtownością, twoje szatańskie podstępy doprowadziły mię do zbrodni za którą teraz karę ponoszę. Ale zniosę moje nieszczęście cierpliwie, bo nie mógłbym żyć gdzieindziéj jak tutaj, pocieszany miłością Serpentyny! Słuchaj stara, powieś się jeśli ci się podoba: — drwię z twojéj potęgi, kochać będę wiecznie, ale tylko Serpentynę; — nie chcę być konsyljarzem, nie chcę już widzieć Weroniki, która mię za twojém pośrednictwem wiodła na pokuszenie. — Jeśli zieloną żmija niebędzie moją, umrę z boleści. — Idź precz z moich oczu, idź precz, obrzydła szatanico!

Stara rozśmiała się, tak, że zadrżały wszystkie ściany pokoju, i zawołała:

— Zostań więc i zgiń w twojéj butelce; — ale czas wziąść się do dzieła, bo nie po ciebie jednego tu przyszłam. Odrzuciła swój płaszcz

czarny i stanęła w brudnych łachmanach które nie ze wszystkiém zakrywały jéj nagość; zaczęła potém tańczyć w około, a ze wszystkich stron zaczęły z szaf spadać grube tomy *in folio* z których stara szybko wyrywała karty. Zręcznie łączyła je z sobą, ubrała się w nie, i wkrótce pokazała się jakby w pancerzu z łuszczek dziwacznie popstrzonych. Czarny kot wyskoczył z kałamarza zieiąc ogniem, i miaucząc pobiegł ku staréj, która wydała krzyk radośny i wybiegła z nim razem z bibljoteki. Anzelm postrzegł że poszła do błękitnego pokoju i wkrótce usłyszał huk i świst w odległości; ptaki w ogrodzie krzyczały, papuga grzechotała: „Na pomoc! na pomoc! złodzieje!

W téj chwili stara weszła skacząc do pokoju, z złotą doniczką pod ręką i krzycząc okropnie z przerażającemi gestami: Śmiało! śmiało! mój synu! -zabij zieloną żmiję! śmiało mój synu, śmiało! --Zdawało się Anzelmowi, że słyszy głębokie westchnienia i bolesny głos Serpentyny; okropna rospacz ogarnęła go, uderzył w ściany kryształu z taką gwałtownością, że zaledwie nie pękły jego żyły i muskuły Przerzynający dźwięk zabrzmiał w sali, i archiwista Lindhorst okazał się w drzwiach, w swoim świetnym adamaszkowym

szlafroku: „Ho, ho, czarownico, z twoim przeklętym towarzyszem! zawołał gniewnie.—Włosy staréj najeżyły się jak szczotka, oczy jéj zabłysły piekielnym ogniem, i szczękając ostremi zębami szerokiéj paszczy, krzyknęła. *Lesto, presto*, pazurami, pazurami! Rozśmiała się i ścisnęła silnie doniczkę złotą, a biorąc z niéj garścią błyszczącą się ziemię, ciskała ją na archiwistę; ale ta ziemia dotykając sukni jego zamieniała się w kwiaty które upadały na ziemię. Wtedy lilje na szlafroku archiwisty zapaliły się i rzucały płomienie, a on brał je ręką, i płonące rzucał na czarownicę, która ryczała z bólu; ale skoczyła, strząsnęła swój pancerz pargaminowy, a lilje zgasły i zmieniły się w popiół. *Lesto, presto*, mój mały! wołała stara; kot rzucił się ku drzwiom jakby chcąc skoczyć na archiwistę, ale szara papuga poleciała przeciwko niemu i schwyciła go krzywym dziobem za kark tak silnie, że czerwona krew z ogniem spłynęła po jego szyi, a głos Serpentyny zawołał: „ Ocalona! — ocalona!“

Stara z wściekłością i rospaczą rzuciła się na archiwistę, cisnęła po za siebie złotą doniczkę, i wyciągając swe długie chude palce, chciała drapać swego przeciwnika; ale ten szybko zdjął

swój szlafrok i rzucił go na starą. Wtedy świsnęły i zachrząstnęły i wybuchły płomienie niebieskawe, a stara wiła się po ziemi wydając krzyki bolesne i usiłowała jak najwięcéj wziąść ziemi z doniczki, i udrzéć kartek pargaminowych z książek, dla zgaszenia płomieni wkoło ją otaczających i płomienie gasły, ale wtedy, jakby z ciała archiwisty, wypływały świszczące i drżące płomienie i leciały ku staréj. „He! he! wygrana, wygrana,—salamandr zwyciężył! zagrzmiał głos archiwisty, a tysiące błyskawic wiło się zakreślając krąg ognia około czarownicy która wydała ryk okropny. Straszliwa walka toczyła się tymczasem między kotem i papugą, obadwaj rycerze ścigali się we wszystkich kątach pokoju, nakoniec papuga silném uderzeniem skrzydeł powaliła kota na ziemię, utopiła we wnętrznościach jego ostre szpony, i trzymała go w ten sposób, a biedny kot miauczał boleśnie; potém ostrym i krzywym dziobem, wydarła mu błyszczące oczy z których wysączyła się ciecz paląca.

Gęsty dym wyszedł z tego miejsca gdzie stara upadła pod szlafrokiem, jéj ryk, jéj krzyki zguby brzmiały w odległości. Dym nagle roz-

jaśnił się, archiwista podniósł szlafrok i znalazł pod nim brzydki burak. „Szanowny panie mój i zacny archiwisto, przynoszę ci tu mego zwyciężonego nieprzyjaciela,“ rzekła papuga podając mu czarne futro — „Bardzo dobrze moje dziécię, odpowiedział archiwista, patrz, tu oto i moja nieprzyjaciółka zwyciężona, proszę cię zajmij się resztą; dziś zaraz, otrzymasz tytułem gratyfikacji, sześć orzechów kokosowych i parę nowych okularów, bo widzę że niegodziwy kot stłukł ci dawne.“—„Dziękuję ci, szanowny mój opiekunie i przyjacielu,“ odpowiedziała papuga radośnie; wzięła w dziób burak i uleciała przez okno które jéj otworzył archiwista Lindhorst.

Ten, porwał doniczkę złotą, i zawołał głosem mocnym: „Serpentyno! Serpentyno!“

Ale kiedy uczeń Anzelm uradowany śmiercią niegodziwéj kobiety, która była przyczyną jego nieszczęścia, spojrzał na archiwistę, ujrzał raz jeszcze postać majestatyczną króla jeńjuszów który spoglądał nań z wyrazem niewymównéj dobroci i łagodności.—„Anzełmie rzekł król jeńjuszów, byłeś niedowiarkiem, ale w tém nie twoja wina; obwiniać o to trzeba pierwiastek który usiłował nieporządek zasiać w twojéj głowie i po-

stawić cię w sprzeczności z tobą samym; pozostałeś wiernym ciągle, odrodź się więc do szczęścia i wolności." Nagle światło błysnęło w duszy Anzelma, cudowny akord kryształowych dzwonów; zabrzmiał silniéj i potężniéj jak kiedykolwiek, jego żyły i nerwy zadrzały; — coraz pełniéjszy i silniéjszy akord brzmi i grzmi i napełnia całą salę; butelka kryształowa pęka, a Anzelm pada... w objęcia pięknéj, zachwycającéj Serpentyny.

WIECZÓR JEDYNASTY.

Zły humor rektora Paulmann, z powodu obłąkania które opanowało jego rodzinę. — Jak rejestrator Heerbrand został konsyljarzem i przechadzał się w największy mróz, w trzewikach i pończochach jedwabnych — Wyznanie Weroniki — Zaręczyny przy dymiącéj się wazie.

—Ale powiedz mi, kochany rejestratorze, jakim sposobem ten przeklęty poncz mógł nam tak podstąpić do głowy, i pobudzić nas do takich niedorzeczności? mówił rektor Paulmann wcho-

dząc zrana do pokoju zasypanego jeszcze stłuczonemi szklankami, wpośród których nieszczęśliwa peruka, przywrócona do swego pierwotnego stanu, pływała rozpuszczona w oceanie ponczu.

Kiedy Anzelm wyszedł od nich, rektor Paulman i rejestrator Heerbrand biegali i skakali po całym pokoju, jak potępieńcy, trącając się wzajemnie głowami, aż nareszcie Fanny z wielkim trudem odprowadziła do łóżka rektora Paulmann z wywichniętą nogą, a rejestrator upadł na sofę, z któréj poprzednio uciekła Weronika do swego pokoju. — Rejestrator z głową związaną niebieską chustką, blady i smutny, wyrzekł z cicha, odpowiadając na powyższe zapytanie rektora: „To nie poncz, szanowny rektorze, który panna Weronika tak zachwycająco zaprawiła, to ten przeklęty Anzelm, przyczyną jest wszystkiego złego. Czy nie zważaliście, że on jest oddawna *mente captus*? i czy nie wiecie także, że obłąkanie jest zaraźliwe? — Jedna chora owca, całe stado zarazi, mówi przysłowie, a dopieroż kiedy człowiek naleje trochę za dużo,..., łatwo stracić przytomność. Ale czy uwierzylibyście że jeszcze mi się kręci wgłowie, jak pomyślę o szaréj papudze.

— Eh! cóż tam! odpowie rektor, to głupstwo wszystko! To był stary, mały *famulus* archiwisty, w szarym płaszczu; — przyszedł tu dowiedzieć się o Anzelma.

— Być to może, odpowiedział rejestrator, ale trzeba przyznać że się czuję słabym tak na umyśle jak ciele; ale też przez całą noc słyszałem ciągłe świstanie i głos organów, w sposób zupełnie nie przyjemny.

— To ja, odpowie rektor, to ja, bo okropnie chrapię.

— A to doskonale, mówił daléj rejestrator, ale kochany rektorze, — nie bez powodu starałem się wczoraj o kilka chwil przyjemnych; — ale Anzelm, wszystko mi popsuł. Nie wiecie nic, — kochany rektorze! — Rejestrator Heerbrand podniósł się szybko, zerwał z głowy niebieską chustkę, rzucił się w objęcia swego przyjaciela, ścisnął mu z zapałem rękę, zawołał raz jeszcze żałobnym głosem, o kochany rektorze! potém, wziąwszy kapelusz i laskę, wybiegł z całych sił.

— Ten Anzelm nie postanie więcéj w moim domu, rzekł do siebie Paulmann, widzę bowiem że jego uparte szaleństwo, pozbawiłoby wkrótce

rozumu najpoczciwszych ludzi. A naprzykład rejestrator, już cokolwiek zarywa głupstwa. Ja dotąd szczęśliwie się jakoś zachowałem, ale djabeł, który wczoraj pukał do drzwi moich, mógłby jutro wejść gwałtem, i zagrać ze mną swoję komedyę. — A więc, *Apage satanas*, bywaj zdrów panie Anzelmie!

Weronika stała się bardzo poważną, nie mówiła ani słowa uśmiechała się tylko niekiedy dziwącznie, i nad wszystko przekładała samotność.

— Otóż jeszcze jedna którą Anzelm oczarował, rzekł złośliwie rektor, ale cieszę się, że się tu nie pokazuje; wiem, że się mnie boi — szano wny pan Anzelm! -- Rektor powiedział te słowa, głośno,- w obecności Weroniki; obfite łzy zalały twarz biédnéj dziewczyny, i rzekła wzdychając:

— Niestety, jakże ma tu przyjść biedny Anzelm, kiedy siedzi zamknięty w karafce szklannéj.

— Kto? jak? — zawołał rektor Paulmann, mój Boże, mój Boże! ona także majaczy jak rejestrator, nie długo oszaleje zupełnie.

Pobiegł natychmiast po doktora Eckstein, który się uśmiechnął, i rzekł: „Eh! eh!“ -- nie za-

pisał żadnego lekarstwa, tylko do dwóch: Eh! eh! które powiedział, dodał odchodząc: „Spasmy,—drażnienie nerwów;—to samo przejdzie. Wyprowadzać na świeże powietrze — niech się przejeżdża w powozie,—rozrywki,—widowiska,—to same przejdzie!“—„Doktor od dawna już tak wiele nie mówił“ pomyślał rektor Paulmann, „dziś dzień szczególny uruchomienia języków.“

Dnie, tygodnie, miesiące upływały; Anzelm zniknął; lecz i rejestrator Heerbrandt także się nie pokazywał; nakoniec dnia 4 Lutego, wszedł ubrany we fraku z cienkiego sukna, skrojonym podług ostatniéj mody, w trzewikach i jedwabnych pończochach, pomimo zimnéj pory roku, trzymał w ręku ogromny bukiet naturalnych kwiatów; wszedł, jak powiedzieliśmy, w samo południe, do gabinetu rektora Paulmann, który bardzo się zdziwił, ujrzawszy tak wystrojonego przyjaciela. Rejestrator Heerbrandt przystąpił z uroczystą postawą do rektora, uścisnął go, z wykwintną dwornością i rzekł: „Dziś dzień imienin przezacnéj, przepięknéj i ukochanéj panny Weroniki, przychodzę więc wyznać ci szczerze to, co mi już oddawna ciężyło na sercu! Pewnego wieczora, który zawsze ze drżeniem wspominam, kiedy przyniosłem w kieszeni mego surduta potrzebne

szczegóły do zrobienia przeklętego ponczu, który nam wszystkim tyle złego wyrządził, miałem zamiar, chciałem powiedzieć ci pomyślną nowinę, i obchodzić uroczyście razem z tobą, ten dzień szczęścia, przyszedłem był uwiadomić cię, że zostałem mianowany konsyljarzem dworu, dzisiaj mam nominację w mojéj kieszeni, *cum nomine et sigillo principis*.— Ah! ah! panie rejestr..... panie konsyljarzu Heerbrandt, chciałem powiedzieć, mruczał rektor. „Ależ pan, zacny rektorze, odrzekł nasz przyjaciel Heerbrandt, teraz radca, pan sam możesz dopełnić moje szczęście: od dawnego już czasu, kochałem w milczeniu pannę Weronikę, i mogę sobie pochlebiać, że w spojrzeniach które rzucała na mnie, umiałem dostrzedz oznaki niejakiéj przyjaźni, spojrzenia te, jasno mię przekonały, żem jéj się zdołał cokolwiek podobać. Jedném słowem, szanowny przyjacielu, ja konsyljarz Heerbrandt, proszę cię o rękę twojéj zachwycającéj Weroniki, zaraz się z nią ożenię, jeżeli to sprawi ci przyjemność.“

Rektor Paulmann, w zbytku zadziwienia wzniósł ręce nad głowę i zawołał: „Ah!—ah! ah!—panie rejestr....panie konsyljarzu, chciałem powiedzieć, ktoby był o tém kiedy pomyślał!—

A więc! jeżeli Weronika kocha cię istotnie, ja, z mojéj strony, nie mam nic przeciwko temu, kto wie, czy obecna jéj melancholja, nie pochodzi z ukrytéj miłości, jaką czuję dla pana rejestr...pana konsyljarza, chciałem powiedziéć; dzięki Bogu, znajome już są powody jéj dziwactwa."

W téj chwili, weszła Weronika, blada, suknie jéj były w nieładzie, taka, jak zwykła okazywać się od niejakiego czasu. konsyljarz Heerbrandt powstał i postąpił ku niéj, w rozmowie obrotnie ugrzecznionéj, wspomniał o dniu jéj imienin, i podał jéj, oprócz woniącego bukietu, małe pudeleczko; Weronika je otworzyła i para błyszczących kolczyków ukazała się jéj oczom, nagła i niknąca zaraz czerwoność ubarwiła jéj policzki, można było dostrzedz ogień w jéj oczach: „Ah! mój Boże, zawołała, to te same kolczyki, które przed kilką tygodniami nosiłam, i które wówczas tyle mi sprawiły radości!"— „Jak to byćby mogło? rzekł zadziwiony konsyljarz Heerbrandt, jak to byćby mogło? nie ma godziny, jak je kupiłem na ulicy zamkowéj, za małą bagatelkę. Lecz Weronika nie słuchała go wcale, była już przed zwierciadłem, i przypatry-

wała się czy były do twarzy kolczyki, które zaraz w małe swe uszki założyła.

Rektor Paulmann, przybierając postać i ton poważny, uwiadomił córkę o nowym stopniu przyjaciela swego Heerbrandt, i oświadczeniu, jakie uczynił o jéj rękę. Weronika spojrzała na konsyljarza przenikliwym wzrokiem i rzekła: „Wiedziałam już oddawna że pan chcesz mię zaślubić: — Zgadzam się na to — przyrzekam panu serce i rękę; lecz przede wszystkiém winnam was uwiadomić, was obu, ciebie, mój ojcze i pana, mój narzeczony, o okoliczności, która mię niepokoi, która mię uciska, ale to natychmiast nim ostygnie zupa, którą w téj chwili Fanny stawia na stole. —

Nie oczekując odpowiedzi rektora i konsyljarza, nie zważając że wyrazy widocznie błądziły na ich ustach, Weronika mówiła daléj: „Możesz mi uwierzyć kochany ojcze, że kochałam Anzelma z całego serca, i kiedy rejestrator Heerbrand, który teraz został konsyljarzem, zapewniał że Anzelm mógł tym samym zostać, postanowiłam, jego tylko

zostać żoną, lecz wówczas jakaś nieprzyjazna władza usiłowała wydrzéć mi go, udałam się do staréj Elżbiety, która była moją piastunką, a która jest teraz bardzo mądrą kobietą i znakomitą magiczką. Przyrzekła mi swoją pomoc, i oddanie mi Anzelma. Poszliśmy, w czasie przesilenia dnia z nocą o północy, na rozstajne drogi; Elżbieta wywołała piękielne duchy, i za pomocą czarnego kota, zrobiliśmy małe metalowe zwierciadło, w które miałam tylko spojrzéć myśląc o Anzelmie aby nim zupełnie rządzić podług mojéj woli.— Lecz żałuję szczerze że się wmięszałam w te rzeczy, wyrzekam się wszelkich spraw szatana Salamandr zwyciężył starę, słyszałam krzyk jéj rozpaczy, i niepodobna było jéj przyjść na pomoc; szczególniéj wówczas kiedy zmieniła się w burak; w tym kształcie papuga ją pożarła, a moje zwierciadło metalowe roztrzaskało się z okropnym hukiem. „Weronika wyjęła ze szufladki dwa ułamki stłuczonego zwierciadła i pukiel włosów, i pokazując te dwa przedmioty konsyljarzowi Heerbrand, mówiła: „Weź kochany radco, te kawałki zwierciadła, pójdź o północy, i rzuć je z mostu Elby, z miejsca gdzie krzyż stoi, w rzękę,

zachowaj pukiel włosów i noś go zawsze na sercu. Jeszcze raz wyrzekam się wszelkich spraw szatana, Anzelmowi zaś życzę szczęścia z całego serca, gdyż on ożenił się teraz z zieloną żmiją, która jest piękniéjsza i bogatsza odemnie. Ciebie zaś panie konsyljarzu będę kochała i szanowała, jak każda żona kochać i szanować powinna. „O Boże!“ zawołał z boleścią rektor Paulmann, ona jest obłąkana! ona jest obłąkana! —ona już nie może zostać panią konsyljarzowa, ona zwarjowała! ona zwarjowała! „Przepraszam, przerwał konsyljarz Heerbrand, wiem dobrze że panna Weronika żywiła w swojém sercu skłonność do półgłówka Anzelma, i to być mogło, że w chwili uniesienia, udała się do owéj rozsądnéj kobiety, którą jest widzę kabalarka i kawiarka przy bramie Elby, jedném słowem stara Rauer. Nie można zaprzeczyć, aby nie było umiejętności, które wywierają zbyt często, swój nieprzyjazny wpływ na ludzi: starożytni autorowie mowili o nich; lecz to co mówiła panna Weronika, o zwycięztwie salamandry i małżeństwie Anzelma z zieloną żmiją, zapewne jest tylko allegorją, — poematem, w którym panna Weronika opiewa swoje pożegnanie Anzelmowi.“

— Uważaj to sobie jak ci się podoba panie konsyljarzu! naprzykład za sen dziwaczny, odezwała się Weronika.

— Nie podobna, odpowiedział konsyljarz Heerbrand, ponieważ wiem dobrze że Anzelm jest pod przemocą tajemniczych władz które wystawiają go na wszelkie śmieszności i szydzą z niego.“

Rektor Paulmann nie mógł się już wstrzymać zawołał: „Na Boga czy znów za wiele piliśmy ponczu, albo też głupstwa Anzelma działają na nas? Panie konsyljarzu! panie konsyljarzu! jakie baśnie nam pleciesz? Lecz to zapewne miłość działa na mózg was obojgu, ale małżeństwo najlepszém dla was będzie lekarstwem; i gdyby nie myśl, że wkrótce małżeństwo was wyleczy, obawiałbym się aby wasi potomkowie nie odziedziczyli słabości rodziców. Udzielam więc wam ojcowskie błogosławieństwo i całuję jako przyszłych małżonków.“ I jak wyrzekł tak się stało; nim zupa ostygła, małżeństwo było ułożone.

W kilka tygodni, pani konsyljarzowa Heerbrand, tak jak niegdyś marzyła, siedziała w oknie pięknego domu, i z uśmiechem spo-

glądała na modnisiów, którzy przechodząc i zwracając na nią swoje lorynetki, mówili: „Trzeba przyznać, że pani konsyljarzowa Heerbrand jest zachwycająca!“

WIECZÓR DWUNASTY.

O pięknych dobrach które dostały się Anzelmowi jako zięciowi archiwisty Lindhorst, i jak w nich żył z Serpentyną.—Zakończenie.

Wyobrażałem sobie i czułem szczęście Anzelma, kiedy, zostawszy mężem pięknéj Serpentyny, został panem tego królestwa tajemnic, które jego przeczucia i żądania dawno już odgadły.

Lecz naprożno usiłowałem, kochany czytelniku, udzielić ci słabe wyobrażenie o tych cudach jakie otaczały Anzelma. Czułem głęboki niesmak zważając niedostateczność każdego wyrazu, czułem się zatrzymanym skąpém życiem powszedniém, cierpiałem dziwne niezadowolenie z wszystkiego, błąkałem się jak człowiek który marzy, nakoniec upadłem, jak drugi Anzelm, tak jak ci opisałem, łaskawy czytelniku w czwartym wieczorze. Cierpienie niszczyło mię powoli kiedy, przebiegając jedynasty wieczór który szczęśliwie doprowadziłem do końca, sądziłem że nigdy nie będę w stanie dodać do niego dwunastego, który ma być właściwym kluczem wszystkich, ponieważ za każdym razem, gdy wieczorem siadałem do stołu, aby dończyć tego dzieła zdawało mi się, że widzę złośliwe widziadła (byli to może krewni,—może powinowaci zmarłéj czarownicy) którzy mi okazywali błyszczące metalowe zwierciadło, w którém widziałem się bladym, słabym i melancholiczaym, jak rejestrator Heerbrandt kiedy się ponczem upił. — Rzucałem wówczas pióro i kładłem się w łóżko, abym chociaż mógł marzyć o szczęśliwym Anzelmie i zachwycającéj Serpentynie. Słabość ta trwała bardzo długo, kiedy z wielkiém zadziwieniem,

odebrałem list od archiwisty Lindhorst; list ten był następujący:

„Jeśli mam wierzyć pogłosce która tu biega, opisałeś pan w jedynastu wieczorach, cudowne przypadki kochanego mego zięcia, a teraz poety Anzelma; i że teraz dręczysz się bardzo, nie wiedząc co pisać w dwunastym i ostatnim rozdziale, o szczęśliwém życiu jakie pędzi w dobrach moich w Atlantydzie, gdzie mieszka z moją córką. Chociaż nie najmiléj mi jest, żeś światu czytelników objawił moje pochodzenie i moją właściwą naturę, ponieważ mogłoby mię to wystawić na różne nieprzyjemności w mojém urzędowaniu archiwisty, i obudzić tę drażliwą wątpliwość w kollegjum, jak dalece salamandr może zobowiązywać się przysięgą do usług kraju; czy rostropnie jest i czy wolno przyjmować jego zobowiązania; nakoniec jak dalece można mu powierzać ważne czynności, ponieważ Gabalis i Swedenborg, mówią: „Nie trzeba powierzać się jeńjuszom pierwotnym“; chociaż moi najlepsi przyjaciele, unikać może będą na przyszłość moich uścisków, bojąc się żebym nie wypuścił jakich płomyków i nie popsuł ich stroju niedzielnego albo ich fryzury: — mimo tego wszystkiego, mówię, chcę dopomódz panu do u-

kończenia tego dziełka, ponieważ mówisz wiele dobrego o mnie i mojéj córce zamężnéj (dwóch innych chciałbym się także pozbyć jak najprędzéj). Jeśli więc pan chcesz napisać dwunasty wieczór, opuść twój pokoik, zejdź z twoich pięciu piętr i przyjdź do mnie. W sali błękitnéj którą znasz, znajdziesz wszystko czego potrzeba do pisania, i będziesz mógł w kilku słowach zdać czytelnikom sprawę z tego co zobaczysz; to lepiéj będzie, niż pisać długi komentarz nad życiem, które znasz tylko z opisu.

Zostaję z uszanowaniem, życzliwy sługa, Salamandr Lindhorst archiwista królewski.

Ten list archiwisty Lindhorst, wprawdzie nieco rubaszny, ale przyjazny, uczynił mi wielką radość; zdawało się wyraźnie, że dziwny starzec, dobrze znał szczególny wypadek który mi odkrył historję jego zięcia, wypadek, o którym związany przyrzeczeniem, musiałem zamilczéć nawet przed tobą, szanowny czytelniku, ale nie wziął téj rzeczy tak źle jak mogłem spodziewać się i obawiać; sam ofiarował mi pomoc swoję w dokończeniu dzieła, skąd mogłem słusznie wnosić, że istotnie nie bardzoby się gniewał

widząc swoje cudowne istnienie odkryte światu drogą druku. Może być, pomyślałem, że spodziewa się wydać prędko za mąż dwie pozostałe córki; może w serce jakiego młodzieńca padnie iskra i on zakocha się w zielonéj żmijce, i będzie mógł ją znaleść wliściach bzu. Co do nieszczęścia nawet jakie wydarzyło się Anzelmowi, kiedy został zamknięty w butelce szklanéj, to będzie tylko dla niego ostrzeżeniem, że przede wszystkiém winien się strzedz powątpiewania i niedowierzania. Jedynasta godzina biła, kiedy zgasiłam lampę i udałem się do Archiwisty Lindhorst, który już czekał na mnie w przedpokoju.

— To pan, szanowny pisarzu! — istotnie, bardzo mię cieszy że zaufałeś moim dobrym zamiarom, że nie obawiałeś się przyjść do mnie; chciéj tylko pójść za mną! — mówiąc te słowa poprowadził mię przez ogród który był wspaniale oświecony, do sali błękitnéj. Wszedłszy, poznałem stół fjoletowy, przy którym zwykle pracował Anzelm.

Archiwista Lindhorst zniknął, ale wkrótce powrócił, niosąc wręku piękną czarę złotą, z któréj wychodził drgający błękitnawy płomyk.

— Przynoszę ci tu, rzekł do mnie, ulubiony napoj twego przyjaciela, kapelmistrza Jana Kreis-

ler. Jest to arak palący się, w który wrzuciłem nieco cukru. Skosztuj go; zdejmę mój szlafrok, i podczas kiedy siedząc tam, będziesz patrzył i pisał, ja aby się rozerwać i użyć twego przyjemnego towarzystwa, będę się przechadzał po twoim kubku.

— Jak się panu podoba, szanowny archiwisto, rzekłem; ale kiedy zechcę skosztować tego napoju spodziewam się że pan nie...

— Bądź spokojny, miły przyjacielu! zawołał archiwista, zrzucił szlafrok, wstąpił w mój kubek z wielkiém, mojém podziwieniem, i zniknął w pośród płonącego napoju.

Zdmuchnąwszy lekko płomień, zkosztowałem napoju bez wstrętu, był wyborny.

Nie sąż to szmaragdowe liście palm, co się kołyszą i drgają z tak słodkim szelestem, jakby się z niemi pieścił oddech poranku? Budząc się z swego snu, poruszają się, rozwijają, i szemrzą tajemnie rozmawiając z sobą o cudach które im ogłaszają dźwięki arf powietrznych. tego słabego echa odległych krain. Błękit oddziela się od ścian, i wznosi się albo opada jak lekki obłok; ale jeszcze promienie przerzynają ten obłok wijący się i rozwijający kapryśnie, i wznosi się

i niknie w cudownéj wysokości błękitnego sklepienia, wznoszącego się nad palmami. — Lecz coraz bardziéj i bardziéj swietne promienie, jedne następują podrugich aż nakoniec ozłocony ogniem słońca, okazuje się ogród, w którym spostrzegam Anzelma. — Płomieniste hjacynty, tulipany, róże, wznosiły głowy piękne i wdzięczne, a ich zapach, harmonijnemi brzmieniami przemawiał do szczęśliwego ich pana: Zostań, zostań z nami luba istoto co nas rozumiesz woń nasza jest żądzą powstającą z miłości; — Kochemy cię i jesteśmy na zawsze twojemi! — Złote promienie wyciskały te wyrazy ognistemi literami: Jesteśmy ogniem który miłość zapaliła,, Woń jest żądzą, ale ogień jest namiętnością; — czyliż my nie mieszkamy w twém sercu, czyliż nie jesteśmy twojemi? Smętnych gaików olbrzymie drzewa szeleszczą i szumią: — Pójdź do nas szczęśliwy śmiertelniku, — śmiertelniku ubóstwiony! Ogień jest namiętnością, ale nasz cień, świeży, rozkoszny jest nadzieją. Bawiemy się miłośnie w około twojéj głowy, bo ty nas zrozumiesz, bo miłość mieszka w twojém sercu. — Strumyki i wodotryski szumią i szemrzą: Nie mijaj tak szybko ukochany, rzuć spojrzenie na nasz kryształ; —

W łonie naszém panuje twój obraz, i zachowujemy go z miłością,--bo ty nas pojąłeś!—Ptaszki świergotają i śpiewają chórem. Słuchaj nas, słuchaj nas; my jesteśmy wesołością, roskoszą, uniesieniem miłości! — Ale Anzelm zwraca słodkie spojrzenie ku świątyni, co się wznosi w oddaleniu. Kolumny jéj zdają się być drzewami; z kapitelami i podstawami z liści ostrokrzewu, które wijąc się na przemiany tworzą nadzwyczajnie bogate ozdoby Anzelm postępuje ku świątyni, patrzy z roskoszą na pstre marmury i na stopnie pokryte mchem delikatnym.—Tak, tak! woła w uniesieniu: ona jest tam!" Pełna wdzięku i słodyczy Serpentyna wychodzi z świątyni; niesie doniczkę złotą w któréj świeżo rozwinął się cudowny kwiat lilji. Roskosz błyszczy w jéj pięknych oczach, spogląda na Anzelma i rzecze:— „Ah! mój drogi, kwiat lilji otworzył swój kielich. Nasze wysokie przeznaczenia są dopełnione: och, czyliż istnieje szczęście równe naszemu?" Anzelm przyciska ją do serca z całą namiętnością najżywszéj miłości. Kwiat lilji zapala się i rzuca potoki płomienia, i znowu drzewa i gaiki drgają, strumyki szemrzą, ptaki, tysiące owadów różnobarwnych, tańczą w wirach powietrznych. Szmer radości, szczęścia, upojenia,—w powietrzu—w wo-

dach, na ziemi, obchodzą święto miłości. Nagle błyskawice przerzynają ciemnicę gaików, djamenty podobne ognistym oczom, dobywają się z ziemi i spoglądają na jéj powierzchnię; fontanny wytryskują;—przyjemne wonie rozszerzają się niesione na skrzydłach drgających:—to jeújusze żywiołów, oddają cześć kwiatu lilji i głoszą szczęście Anzelma.

Anzelm podnosi głowę otoczoną świetną *glorją*.—Sąż to spojrzenia? — Sąż to słowa? czy śpiew? Słychać wyraźnie:—„Serpentyno! Wiara i miłość otworzyły mi skarby natury!—Przyniosłaś mi kwiat lilji, który powstał z złota w pierwotnych siłach ziemi, pierwéj nim Fosforus myśl zapalił;—ten kwiat jest poznaniem świętej harmonji wszystkich istot, i w tém poznaniu żyć będę wiecznie na szczycie szczęścia. Tak jest, szczęśliwy! poznałem najpiękniéjsze tajemnice. Serpentyno! kochać cię będę wiecznie. I nigdy nie zbledną złote promienie lilji białéj.

Widzenie, podczas którego ujrzałem Anzelma w jego pięknéra mieszkaniu w Atlantydzie, jest bez wątpienia grzecznością ze strony salamandra, a co więcéj jeszcze było uprzejmości jego dowodem, to to, że po zniknieniu tego zjawiska, ujrzałem na stole foletowym najrzetelniéjszy

jego opis, czysto napisany i własną moją ręką.— Ale wtedy, uczułem się nagle przejętym boleścią, O szczęśliwy Anzelmie! zawołałem, który daleko odrzuciłeś od siebie ciężar zwyczajnego życia, który przez miłość twoją dla Serpentyny, wzniosłeś się tak wysoko, i dziś mieszkasz z nią w pośród roskoszy, w pięknéj krainie Atlantydy! A ja nieszczęśliwy! — wkrótce, — tak, za kilka chwil, przeniesiony zostanę z tego pięknego salonu, (który i tak ani się równał z twojém teraźniejszém mieszkaniem), do mojéj nędznéj izdebki; potrzeby i nędze życia, zajmą całą myśl moją, tysiączne nieszczęścia rzucą gęstą zasłonę na me oczy, i pewno nigdy już nie ujrzę kwiatu lilji.

W téj chwili archiwista Lindhorst uderzył mię z lekka po ramieniu i rzekł:—„Cicho, cicho, łaskawco, nie żal się tak bardzo! — Czyliż nie byłeś w téj chwili w Altantydzie, gdzie posiadasz, folwark, tytułem lenności poetycznéj? Istotnie, czemże jest szczęście Anzelma, jeśli nie życiem w poezji, dla któréj odkrywa się święta harmonja wszystkich istot, jako najgłębsza z tajemnic przyrodzenia?“

ŚLUBNE DOŁY. (*)

(*Wiejska komnata, drużbowie i druchny odbywają zaręczyny.*)

DRUŻBOWIE.

Bawmy się wesoło,
Kiedy czas dozwala,
Daléj w raźne koło,
Tra la la la la la.

(*) W Sandomierskiém, nie daleko Opatowa, przejeżdżając, napotkałem pasmo dołów nazwanych ślubne, bez wątpienia musiał być jakiś powód takow go nazwania lecz o nim dowiedzieć się nie mogłem — Niniejsza powieść nie opiewa zdarzenia prawdziwego, nosi tylko nazwisko miejsca któremu przyglądałem się z zajęciem.

Nad strumykiem kwiatek,
Na twych włosach róże;
Dziewcze, twoich latek,
Żal się panie Boże.
Kiedy jutro we dnie,
Ptak śpiewać usiędzie,
Twoja twarz pobladnie,
Aj! aj! co to będzie.
Oko nie zaświeci.
Jak na Niebie zorze,
I wdzięk twój uleci,
Żal się panie Boże!
Z tobą twój kochany,
A chłopaki zdala;
Dziewcze, daléj w tany,
Tra la la la la.

Druchny.

Przez trawki zielone
Rączy strumyk płynie,
Tak to i dziewczynie
Wszystko jest pieszczone;
Matka pieści, kocha,

Chłopaki szaleją,
Kwiateczki się śmieją,
Smutku ani trocha.
A gdy już mężatka,
Chłopiec stroni zdala.

WSZYSCY.

Tra la la la la la.

DRUZBA.

Co za dziadek pod drzwiami, wpuśćcie tego dziadka.
(*Dziadek wchodzi.*)
Wejdź dziadku śmiało, myśmy biednym radzi;
Możeś dziś nie jadł, siądź z nami do stoła.
Lecz dziadek milczy i tylko do koła,
Badawczém okiem prowadzi.
Dziadku, dziel z nami ucztę i zabawy;
Pij! pijem wszyscy panny młodéj zdrowie,
Jedz! — są tu różne przysmaczki, potrawy,
Dziadku pij — dziadek, bóg zapłać, odpowie.
Dziadku, dla czego we łzach twoje oko?
Po co masz płakać i na co się smucić?
Zaśpiewaj nam cokolwiek — on westchnał
(głęboko

I zaczął nucić —
„Po dolinie strumyk płynie
A przy nim jawory,
Tam Jaś przy swojéj dziewczynie
Przepędzał wieczory.
Po dolinie strumyk płynie
A przy nim dąbrowa,
Tam Jaś powiedział dziewczynie:
Bądź zdrowa! bądź zdrowa,
Konik w podkowy zadzwonił,
Ptak smutno zanucił,
Jaś odjeżdżał i łzy ronił,
I płakał jak wrócił,
Wiéj wietrzyku, rżéj koniku,
Kwil piosnki ptaszyno;
Jawór rośnie przy strumyku,
Gdzieżeś ty dziewczyno?
Domek — domek do około,
Drzewko wzniosłe kryje,
Tam szczęśliwa i wesoła,
Ta dziewczynka żyje.
Ona z drugim miłość dzieli,
Jaś znosi rozpacze,
Dziewcze śmieje się, weseli,
A Jaś smutny płacze.

(*Dziadek umilkł, potém zrywa się jakby z uśpienia.*)

Ach jak wiatr wieje,
Księżyc nie świeci,
Zegar już północ uderza raz trzeci,
Drżę cały, truchleję.

D r u ż b a.

Dziadku co ci jest?

D z i a d e k.

Nic to moje dziécię,
Patrz, jaka burza słyszysz wiatrów wycie,
Księżyc twarz złotą w czarnéj chmurze nurzą,
Szeleszczą drzewa, z szumem ścieka woda,
Stuletnie dęby silna chyli burza,
I ziemię muszcze latorośla młoda.

P a n n a m ł o d a.

Co mówisz ojcze? tak piękna pogoda,
Ni jedna chmurka nie pływa po niebie,

D z i a d e k.

Pogoda?.. tak jest.... pogoda dla ciebie.

(*spiewa.*)

Lat temu kilka,
Nie jedna chwilka,
I mnie pogodnie schodziła,
Z tobą uciechy,
Żarciki, śmiechy,
Ach z tobą, z tobą o miła.

Ach, wtenczas, wtenczas, ja byłem szczęśliwy,
Serce mi przypomina — wieczorek majowy,
Gra w zielonym gaiku słowik romansowy,
Pastereczka pod laskiem tkliwe nuci spiewy.
Ni jedna chmurka gwiazdeczki zacienia,
Ni jedna chmurka nie kryje księżyca,
Nade mną niebo a pode mną ziemia,
A przy mnie boska dziewica.
Gdy słońce wita dnia jasny poranek,
Lub blady księżyc twarz ukaże swoją,
Nam chwile płyną wpośród zalecanek,
Dusze się zleją i usta się spoją.
Róże rozkwitną na jéj licu białém,
Uczuciem płoną ogniste spojrzenia,
Byłaż to miłość (*z mocą*).
Ach ja ją kochałem.

DRUŻBA.

I po cóż wznawiać bolesne wspomnienia.

DZIADEK.

Szczęsny w kim pamięć wraz z czasem uleta,
Jedna chwilka roskoszy otrze łzy boleści,
Mnie?... ach, jam wcale nie stworzon dla świata.

DRUŻBA.

Musiałeś w twojém życiu nieszczęść przenieść
(mnogo,
Opowiedz nam.

DZIADEK.

Chcesz słyszéć zbyt smutne powieści,
Które nie bawią nikogo.

PANNA MŁODA.

Opowiedz dziadku, posłuchamy radzi,
Będziem się z tobą smucić i weselić.

DZIADEK.

O!... ty właśnie cierpienia drugich umiesz dzięki,
Dziad szepnął z cicha i okiem prowadzi,

I prowadzi do koła i łza błyszczy w oku,
Co to za człowiek?...ktoś zapytał z boku.
Dziwak, ktoś szepnie — Biedak, inny doda,
Wszyscy szemrali, tylko panna młoda,
Raz jak śnieg blada, jak koral różowa,
Zwiesiła głowę i nie rzekła słowa.
Konik zarżał pode drzwiami,
Przyjechał pan młody,
I przywitał się z drużbami,
I rozpoczął gody.
I dziewczynka znów wesoła,
Rumieniec powrócił.
Dziadek siedział w rogu stoła,
Siedział i nie nucił.
Wtém przybył tatko, przybyła matka,
Ręce złączyli dziewczyny, Edwina,
Edwin wesoły, pobladła dziewczyna,
Za stołem nie było dziadka.
Światło księżyca za chmurę się skryło,
Wiatr świszcząc silniéj poruszał modrzewiem
Gdzie dziadek? dziadka w komnacie nie było,
A gdzie się podział? ja nie wiem.

Rośnie lipka zielona,
W niebo wznosi ramiona,

A przy lipce kurhanek,
Na kurhanku rumianek.
Przy kurhanku dom mały,
W domku starzec zgrzybiały,
Czyli po dniu noc głucha,
Czyli ptaszek zagrucha,
On nie widzi, nie słucha;
Zrana nuci koronki,
I modli się wieczorem,
A w dzień, zawsze pod borem.
Zbiera kwiatki, korzonki.
Czyli po dniu noc głucha,
Czyli ptaszek zagrucha,
On nie widzi, nie słucha.
Kiedy słońce rozkwita,
Za złocistą jutrzenką,
Ptaszek ranek powita,
Szczebiotaniem, piosenką.
Wietrzyk kwiatek rozwinie,
Strumyk szemrze i ścieka,
Tak starcowi wiek płynie,
Tak, od świata zdaleka.
Zrana nuci koronki,
I modli się wieczorem,
A w dzień sobie pod borem,
Zbiera kwiatki, korzonki.

Któż teraz jego spokojność narusza,
Do okna silnie zapukał trzy razy,
Za oknem słychać tłumione wyrazy,
Które grobowe westchnienie zagłusza.
Blady jak ściana, jak po śmierci dusza,
I oczy iedwo wyglądają z głowy,
Usta straciły swój kolor różowy,
Wzrok jego dziki, głos jego grobowy.
Jak trup już zgniłym płaszczem przyodziany,
Do koła okiem jak piorunem strzela,
A z powiek jednak łza boleści ścieka;
Cóż to za człowiek? znacież tego człeka?
To dziadek, wraca z dziewczyny wesela.
(Pustelnik zbliża się do okna).

PUSTELNIK.

Kto tam

DZIADEK.

Nie pytaj, gdy nieszczęsny puka,
Ojcze! potrzebny mi jest odpoczynek
(Pustelnik otwiera drzwi.)
Pozwolisz mi wypocząć choć z parę godzinek?

PUSTELNIK.

Znajdzie zawsze gościnność, kto jéj u mnie szuka,
Możeś nie jadł — dzielmy się co nam dały nieba,
Znajdziesz u mnie dzban wody i kawałek chleba;
To moję pożywienie i niém się podzielę.

DZIADEK.

Ten kto daje to co ma, ten już daje wiele.
(*Pustelnik chce zastawiać stół*)
Jeśli dla mnie, Bóg zapłać; powracam z biesiady.
Ojcze znasz mnie? przypomnij!..ja pamiętam (ciebie,
Przyszedłem cię odwiedzić i szukać twéj rady.

PUSTELNIK.

Z czém mogę, z tém każdemu przybywam w po- (trzebie.

DZIADEK.

Cóż mi się tak przyglądasz?

PUSTELNIK.

Nie poznaję ciebie.

DZIĄDEK.

Nie poznajesz? swiat cały dziś mnie nie poznaje,
O! nie raz, nie raz, aż się serce kraje,
Kiedy żyłem na świecie, miałem przyjaciela,
Dusza z duszą się łączy, serce z sercém dzieli.,
Byłem wesół, gdy i on kosztował wesela,
Bylem smutny, gdy jego smutek twarz pobieli.
Dziś myślisz że pamięta, — odepchnął nieczule,
Wzgardził mojém uczuciem, wyśmiał me bóleści
Przyjaciel?... gdzież uczynki?.. nie dosyć na-
(zwanie
I ty mnie nie poznajesz?.. może to ubranie
Zmienia mnie.

(rozbiera się)

PUSTELNIK.

Edgard!... synu! pójdź niech cię przytulę!

EDGAR.

Synu.... synu... i któż mnie tém imieniem pie-
(ści?
O jak miło mieć ojca — kiedy w wiosny kwiecie,
Namiętność płonie w sercu jakby, słońce w lecie,

A szał młodości przyjmać zdrowych rad się
(wzbrania,
Ojciec młodość wstrzymuje, zdrowe wlewa
(zdania,
Lub namiętność osłabi, albo ją zniweczy,
I serce schorowane rozsądkiem uleczy.
O jak miło mieć ojca! gdy bezbożność wściekła,
Sprowadza z drogi cnoty na bezdroża piekła,
Kiedy błędów ocean pieni się i burzy,
Ojciec za przewodnika twéj młodości służy,
On wskaże promień słońca wśród nocy ciemnoty,
I z występków, na drogę naprowadzi cnoty,
O jak miło mieć ojca—ja go już straciłem.
Zaledwie młodzieńczego wieku dziś dożyłem,
Kiedy ojca rad, przestróg, najwięcéj potrzeba,
To mi go dziś wszechwładne odebrały nieba.

Pustelnik (*ściskając Edgara.*)

Edgar!...ściśnij mnie — synu mego przyjaciela,
Ach jak ciebie widziałem lat temu nie wiela,
Takeś pięknie wyglądał, taki czerstwy, młody,
Dzisiaj oczy zapadłe, zsiniałe jagody,
Usta spiekłe, na których kwitły niegdyś róże,
Synu co ci takiego?

EDGAR (*obojętnie.*)

Kres się życia zbliża.

PUSTELNIK.

Stary zwykle umiera.

EDGAR.

A młody nie może?
Wszak i róża więdnieje, chociaż piękna, świéża,
I złotą twarz słoneczka wieczór kryje głuchy,
Lecz zdziwisz się cóć powiem,—czy ty wierzysz
(w duchy?

PUSTELNIK.

Czy ja wierzę? po cóż to dziwne zapytanie?

EDGAR.

Po co? słuchaj!...tak długo już żyjesz na świecie,
A nie wiesz że są duchy, że trup z grobu wstanie,
I błądzi jak wspomnienie po pamiątek świecie.

PUSTELNIK.

Edgarze co chcesz mówić, wytłómacz się przecie.

EDGAR.

Mówię jasno i ten mnie tylko nie rozumie,
W kim rozum wygasł — z laty czucia się zatarły·
Starcze!.. ach, on ma oczy i dojrzéć nie umie,
Ma uszy, mówię głośno, on mnie nie rozumie.
Starcze! spojrzyj mi w oczy—ja jestem umarły
Gdy kiedyś na życia niebie,
Gwiazdy szczęścia noc czarna obłokiem powlekła'
Przeciwko mnie walczyły światy, ziemie, piekła,
I nie mogłem wytrzymać i zabiłem siebie.

PUSTELNIK, (*przelękniony.*)

Co zabiłeś?... jakiejże szukasz u mnie rady,
Czyli prosisz o posty? czyli o pacierze?
Umarłyś?.. nie, Edgarze, ja temu nie wierzę,

EDGAR.

Nie wierzysz? spojrzyj na mnie, jaki jestem blady,
Czyż to nie trupie oczy? nie trupie spojrzenie?

PUSTELNIK.

O Boże! mój Edgarze, jak przykre wspomnienie,
Ty tak pełen nadziei — chociaż byłeś mały,
Jam mówił że rozsądek w tobie już dojrzały,
Pomnę jak się dziwiłem, gdyś zamiast zabawy,

Nie raz ze mną o wierze żywe wiódł rozprawy,
Dowodziłeś byt Boga, duszy nieśmiertelność,
W każdém słowie widziałem tę rozsądku dzielność,
Jaką stary się często nie może pochlubić,
Ty Edgarze, mogłeś się nierozsądkiem zgubić?
I zamiast co raz mędrszym, głupszym byłeś
(z wiekiem.

E d g a r.

Zbłądziłem!.. cóż dziwnego? wszak byłem czło-
(wiekiem,
Wśród głupstw wieku, zaledwie jest rozsądku
(chwilka

P u s t e l n i k.

Tak, nie dawno, mój Boże, wszak lat temu kilka
Twój ojciec żył i twoja żyła jeszcze matka,
Tyś postępem w naukach łzy wyciskał tatka,
Szczycił się że takiego pan Bóg mu dał syna.
I cała się szczyciła Edgarem rodzina,
Każdy cię pieścił, kochał, uczyciel miłował,
Tak z czuciem wiersześ czytał — tak dobrze
(rymował,
Mógłżem mniemać, że zwiodę się w marzenia
(złotém,
Że cię ujrzę w tym stanie.

EDGAR.

Nie wspominaj o tém!
Dwudziesty rok przeżyłem, już sprzykrzyłem (życie!
Starcze.

PUSTELNIK.

Tyż przyjaciela łajesz moje dziécię!

EDGAR.

Przebacz!.. przebacz!.. w zapale gdzież rozumu (władza,
W zapale usta kłamią lub się czucie zdradza,
Ale po cóż mój ojcze wzniecać było chęci,
Abym imie potomnéj przekazał pamięci.
Co mi tam? choćbym sięgnął po laury do nieba,
Muzy śpiewem zagłuszył i przewyższył Feba,
I przesłał potomności w moich dziełach imie,
Chwało! czcza chwało! próżny pochwał dymie,
O! chcąc cokolwiek pisać i czuć to potrzeba,
Czuć! ty miło zasypiasz, ty wstajesz spokojny,
Niebo życia twojego nigdy się nie zchmurza,
Ja nie znam co pogoda, w sercu mojém burza,
Chwytam kwiatek nadziei, wpośród uczuć wojny,
I jeden mały listek z nieszczęsnego kwiatu,

Łzami skrapiam boleści, jątrzę serca rany,
Na co?.. aby zabawkę małą zrobić światu?
Lepiéj jest żyć spokojnie, umierać nieznany.
A gdy gwar życia zgłuszy grobowe milczenie;
Jako człowiek poczciwy pozyskać [wspomnienie.

PUSTELNIK.

Pięknie mówisz, czemuś tak nie postąpił sobie,
Zgasłeś i któż choć parę słów rzeknie o tobie,
Każdy z pogardą wspomni śmiertelnika,
Który w smutku, rozpaczy zwyciężyć nie może

EDGAR.

Starcze, co ci się zdaje — on mnie nie rozumie,
On namiętności nie umie języka.
Zabiłem się! — ty myślisz że zabiłem ciało,
Żem z serca krew wytoczył — sztylet utkwił
(w łonie.
Czy tak sądzisz?

PUSTELNIK.

Sameś mi tak powiedział,

EDGAR.

O nie
Ja mówiłem --lecz tobie inaczéj się zdało,
Zabiłem się.... zabiłem jéj jednêm spojrze-
(niem,
Jéj westchnienia zatrute nie rozważnym chwytał,
Chociaż serce dręczyły piekielném cierpieniem.
Pieściłem się z nadzieją choć zębamim zgrzytał,
Z jéj ust słowa zatrute utkwiły w mém łonie.
Jad się rozszedł po ciele — uczucia zawrzały,
Ostatnie chwile życia mojego skonały.
I umarłem dla siebie, by dla niéj żyć tylko!
Żeby żyć?... w życiu cieszyć się rozkoszy
(chwilką,
Gdziekolwiek myśl uleci. dusza w któréj stronie,
Wszędzie jéj uśmiech spotkać, marzyć na jéj
(łonie,
I przy niéj i z nią razem i dla niéj żyć tylko,
O! wtenczas nie płakałbym żem umarł dla
(siebie.
Ale dziś gdy wiatr wyje i burza na niebie,
Gdy ona, jak furja, czarodziejską siłą,
Sztyletami miłości jątrzy serca rany,
Rzucam się, wściekam, konam, tak jak opętany.
Płaczę albo ze złości chciałbym się pożerać,

Co dzień ona żyć każe i co dzień umierać,
Zabija, wskrzesza, czarodziejską siłą,
Przyznaj że żyć tak nie jest bardzo miło.

Pustelnik. *(biorąc go za rękę.)*

Edgarze czyś ty dostał dziś zawrotu głowy.

Edgar.

Wierzę że cię zadziwiam bez porządku słowy,
Mówiłem tak do głazów i milczały głazy,
Gwiazdom w chwili wieczornéj zwierzałem cierpienia,
Wzychałem — zimny wietrzyk roznosił westchnienia
I w powietrzu niknęły rozpaczy wyrazy.
Nie było komu ze mną cierpienia podzielić.
I chciałem być samotny, stroniłem od świata,
Chciałem sam z sobą płakać, z sobą się weselić,
I tak krótki wiek przeżyć i przepłakać lata.
Serce me czuje, rozum władzę traci.
Słyszałeś kiedy warjatów śpiewania,
Ja jak szczęścia, takiegom pragnął obłąkania.
I kiedy zacznę marzyć i śpiewać wesoło,
Ją ujrzę przy mym boku w anielskiéj postaci,

I miłość, sroga miłość, ach! duszy tortury,
Uśmiech z moich ust spędzi, zasępione czoło,
I niebo czarniejszemi znów powlecze chmury,
I znowu płaczę, i znowu łza w oku,
Ludzie to widząc, stronili odemnie,
I byłem tak samotny jak ptaszek w obłoku,
I samotności pragnąłem daremnie.
A ona, raz mnie dręczy, raz spojrzeniem pieści,
Bujam swobodnie po roskoszy niwie,
Cofam bieg czasu mocą méj. pamięci,
Zapałem wieku miłość w sercu żywię,
Wychodzę, błądzę, nie mówiąc nikomu,
I sobie nieprzytomny, mimo własnéj chęci,
Znajduję się przy jéj domu.
Wzrok w okno zwrócę — jéj postrzegam oko,
I w twarzy uśmiech zimny i nieczuły,
Nie spojrzy namnie — O twarda epoko,
Któréjby i pioruny nawet nie roskuły.
Pogardzam nią i miłość w mém sercu chcę tłumić,
A ta walka okrutna rozdziera mą duszę.

Pustelnik (*kręci głową.*)

Edgar.

Widzę że mnie nie możesz i teraz rozumiéć,
A więc ci jeszcze jaśniéj wytłómaczyć muszę,

Pustelnik.

Ach powiedz twe nieszczęścia, niech wraz z to-
(bą szlocham.

EDGAR.

Więc słuchaj!.. me nieszczęście, że z zapałem (kocham.

PUSTELNIK.

Nieszczęsny! on mieć pewno musi obłąkanie,
Kochasz? to jest rzecz mała — miłość czas zni- (weczy,

EDGAR.

Starcze! wstydź się, jak dziecko, mówisz nie do (rzeczy.
Chcesz prawić o kochaniu — znaszże co kochanie?
Prawda i miłość i wszystko upływa,

PUSTELNIK.

Kochasz? twoja kochana jakże się nazywa?

EDGAR.

Imienia jéj me nigdy nie wyrzekły usta,
Lecz tobie ojcze powiem, zowie się Au (*wstrzy-* (*muje się i kończy*) dela,
O niebaczny!... niebaczny, o ty głowo pusta,
Starcze wiedzieć jéj imie, wymagasz za wiele.

PUSTELNIK.

Wymagam otwartości, jak od przyjaciela.

EDGAR.

Ale jako przyjaciel nie wymagaj wiele,

PUSTELNIK.

Znając twoje cierpienia, z tobą je podzielę,

EDGAR.

Niech ci Bóg za twą dobroć nagrodzi sowicie,

PUSTELNIK, (*biorąc go za rękę.*)

Tak jest Edgarze — zwierz się moje dziecię,
A więc mi powiedz, kochasz, jesteś piękny, młody,
Ani wiekiem pochylon, nie obarczon laty,
Rozsądny, i jakież masz w miłości przeszkody.

EDGAR.

Jedna tylko przeszkoda, nie jestem bogaty!
Starzec się rozśmiał głośno, nie rzekł ani słowa,
I Edgar milczał smutny, i w komnacie głucho,
Na dachu tylko nocna ozwała się sowa,
I głos puszcza w gaiku obił się o ucho.
Starzec milczy, a Edgar i milczy i wzdycha.

Gdy wtém, uśmiech radości w twarzy starca bły-
(snął,
Zbliżył się do Edgara czule go uścisnął,
I coś mu szepnął z cicha.

EDGAR.

Ojcze, czy to być może,

PUSTELNIK.

Tak jest moje dziecię,

EDGAR.

Ach wracając nadzieję, powracasz mi życie,

PUSTELNIK, (*poważnie.*)

Mój synu, młody jesteś, zatém się nie dziwię,
W miłości myślisz szczęście dla siebie ustalić,
Twych zapałów nie ganię -- lecz nie mogę chwalić

EDGAR.

Możeszże brać mi za złe że kocham prawdziwie?

PUSTELNIK.

Nie, ja miłość wielbiłem, w młodości kochałem,

Lub z takim jak ty dzisiaj, lub z większym za-
(pałem,
Takem się z uczuciami jak ty dzisiaj chlubił,
Niestety! ten to zapał ach! ten, co mnie zgubił,
Posłuchaj!.., nie znasz jeszcze co to jest kobiéta
Ty myślisz że gdy róża w jéj licu rozkwita,
Oko piękne jak zorze, włosy jak hebany,
Gdy spojrzy na cię czule, już jesteś kochany?
Nie wierz!.. aby cię uwieść, układa spojrzenie,
Ustami często kłamie miłości płomienie,
Co dzień piosnkę miłosną będzie tobie nucić,
Z tobą wraz się weselić, razem z tobą smucić,
Uwiedzie cię i z twoich uczuć się naśmieje,
Posłuchaj! opowiem ci dawne moje dzieje:
Stąd nie bardzo daleko są zamku zwaliska,
Zamku, co był własnością mojego nazwiska,
Niestarte dotąd na nim herby mego rodu,
W tym zamku ja mieszkałem szczęśliwy za młodu.
Twój ojciec kiedy ranek zabłysnął majowy,
Nie raz do mnie przejeżdżał z fuzyjką na łowy,
Z nim razem szczułem nie raz sarny lub zające,
Albo kwiatki zbierałem po zielonéj łące;
Lub dzikiem kaczki spłaszał z kryształowéj wody,
I tak mi w lubém szczęściu, wiek upływał młody,
Gdy niestety! namiętność w mem sercu za-
(wrzała,

Jak słońce, gdy wśród lata na niebiosach pała,
Ziemię piecze i warzy kwiateczków odzienie,
Tak i me były silne i wrzące płomienie,
Kochałem!.. a z miłością szczęście się skoń-
(czyło.
Nie było téj godziny, chwilki téj nie było,
Abym o niéj nie marzył jéj tylko oddany,
Kochałem.. i sądziłem że byłem kochany.
Jak nie sądzić?.. gdy spojrzę, odpłaci spojrze-
(niem,
Gdy westchnę—ona ze mną rozmawia westch-
(nieniem,
Gdy zapłaczę, jéj oko równie we łzach pływa,
Gdy zaśpiewam i ona razem ze mną śpiewa.
Jednęśmy mieli duszę, jedno serce mieli,
Kochałem szczęścia mego zajrzeli anieli,
Nikt na to obojętném nie spoglądał okiem,
I tak w miłości mijał rok szczęścia za rokiem.
Godzina za godziną i ranek za rankiem,
Wyznałem moją miłość i byłem kochankiem,
Szczęście milsze zazwyczaj sroższy smutek wróży;
Gdy pogoda na niebie spodziewaj się burzy.
Wszak i ptak zwykł grobowe śpiewy często
(nucić
Wypadło mi na chwilę kochankę porzucić,

Płakała przy rozstaniu, jam rzewne łzy ronił.
Siadłem na koń, koń dziarsko u podkowy zadzwo-
(nił,
Wietrzyk zawiał, psów kilku w wioseczce zawyło,
Księżyc skrył się za chmury i mnie już nie
(było.
Miałem dni kilka bawić — przeszedł miesiąc cały,
Mnie sprawunki domowe jeszcze zatrzymały.
Wreszcie wracam.....nadziejo!.. aż z radości płaczę.
Za godzinkę, za chwilę, kochanką zobaczę,
Upoję się miłością! rozkoszą podzielę.
Co za rozkosz! za szczęście ach, co za wesele
I kiedym o mém szczęściu tak marzył dziecinny,
Powracam, mą kochankę już posiadał inny.
Krew w żyłach mocniéj krąży, w sercu jad się
(pieni,
Swiat zadrżał, ziemia stękła, niebo się rumieni.
Piekło zemstę podżega — ach, dla zemsty ży-
(łem!
Stało się — mą kochankę z jéj mężem zabiłem,
Przeminął płochy zapał, rozsądek powrócił,
Płakałem, alem płaczem życia im nie wrócił.
Serce me dotąd ciemną pokryte żałobą,
Udręcza się wspomnieniem i brzydzi się sobą.
Widzisz, kurhan ten co go trawa już okryła,

W niem szczątki méj kochanki, to jéj jest mo-
(giła.
Przy kurhanku są rowy, i tuż rów przy rowie,
Pospolstwe tamte miejsca „ślubne doły“ zowie,
Miła tam jest przechadzka w poranek wiosnowy:
Kwili treny żałobne słowik romansowy,
Szmer cichy z gór ciekących słychać tam stru-
(mieni,
Kwiateczek piękny rośnie, trawka się zieleni,
Tam jam moją kochankę z jéj kochankiem zo-
(czył
I nieszczęsny sztyletem zdradnąm krew wytoczył.
Czas zatarł ten wypadek, jak wszystkie zaciera,
Czas co się ciągle rodzi i ciągle umiera.
Ty, daj Boże, moj synu, abyś był szczęśliwy,
Me włości, me dostatki, me bogactwa, niwy.
Wszystko to, od dziś synu do ciebie należy,
Dziś jednym z majętniéjszéj stałeś się mło-
(dzieży
Jedź do twojéj kochanki, niech cię Bóg prowadzi,
Kochasz ją — szczęśliw będziesz jeżeli cię nie
(zdradzi

* *
*

Długo płakał z radości Edgar zbyt szczęśliwy,

I pustelnik nań patrząc miał łez kilka w oku,
Gdy w tém w lesie poranne ptaszek zagrał
(śpiewy,
I słońce twarz odkryło w różanym obłoku.
Edgar starca uścisnął i dosiadł rumaka,
Choć wiatr jego pędowi sprzeciwiał się śmiele
Lecz on pędził lotem ptaka,
Na swéj kochanki wesele.
Gdy z głębi pieczar wiatr zawył i dmucha,
Umilkł ptaszyna co niedawno nucił,
Edgarze!....spieszy....spieszy i nie słucha,
Bóg daj szczęśliwy jak wyjeżdża wrócił.

(*Dzień wesela dziewczyna ubrana do ślubu sama śpiewa.*)

Słońce wschodzi, wietrzyk dmucha,
W gaju smutny ptaszek dzwoni,
Dziewcze śpiewa — chłopiec słucha,
I łzy roni, i łzy roni.

„Czego płaczesz chłopcze smutny,
Czyli na los swój okrutny,
Czy przeciwność cię uciska,
Czyli miłość łzy wyciska!?..

„Miłość! któż jéj się uchroni?
Czy w dzień jasny, czy w noc ciemną,
W śnie, marzeniach, ona ze mną,
Myślę o niéj, marzę o niéj.

Słońce wschodzi wietrzyk dmucha,
W gaju smutny ptaszek dzwoni,
Dziewcze śpiewa, chłopiec slucha,
I łzy roni i łzy roni.

„Śpiew twój słodzi me boleści,
Serce wzrusza duszę pieści,
Nie na próżno sobie roję,
Z tobą, w tobie szczęście moje, (*trzy razy*.)

* * *

Słońce wschodzi, wietrzyk dmucha,
W gaju smutny ptaszek dzwoni,
Dziewczę śpiewa, chłopiec slucha,
I łzy roni i łzy roni.

„Nie płacz chłopcze, cóż cię smuci,
Szczęście znikło i powróci,
Kochasz — miłość troski słodzi,
Smutki luba wynagrodzi.“

„Luba, gdy kocha wzajemnie,
A ona miłości stroni,
Wzdycham, płaczę, nadaremnie,
Myślę o niéj, marzę o niéj,

Słońce wschodzi, wietrzyk dmucha,
W gaju smutny ptaszek dzwoni,
Dziewcze śpiewa — chłopiec słucha,
I łzy roni i łzy roni.

„Spiew co dziś me serce pieści,
Gdy zagłuszy łza boleści,
Garść ziemi wróci pokoje,
Wtenczas, wtenczas, szczęście moje. (*trzy ra-*
(*zy*.

Dosyć ładna piosneczka, śpiewał mi ją dawno,
Kto taki? nie pamiętam; a! przypomnę sobie,
Któż przecię? Edgar—Edgar śpiewał mi ją da-
(wno,
Jak ja też byłam wtenczas zabawną,
Kochałam go, już tego dziecińslwa nie zrobię,
Kochać! kochać! cha cha cha... (*śmieje się.*)
Nie śmiéj się dziewczyno;
W martwym nocy grobowcu znikł młodziuchny
(ranek,
Wesołe chwile, smutny okrywa kurhanek,

Zbyt często po radości łzy boleści płyną,
Nie śmiéj się dziewczyno.
Słońce codzień z świtaniem miło się uśmiecha,
A jednak wieczór jęczy na śmiertelném łożu,
Księżyc pływa wesoło po obłoków morzu,
Kwiat się pieści z księżycem, w południe usycha,
Nie śmiéj się dziewczyno.
Ptaszek wita poranek, brzmią radości pienia,
Wieczorem się na nocy chłód i deszcze żali,
Dziewcze! miałaś ty kiedy grobowe wspomnienia,
Oj! uśmiech nie pieściłby dziś twoich korali.

(Drużbowie wchodzą do komnaty, śpiewając, śpiewka ta jest dosłownie wypisana ze śpiewki gminnéj weselnéj.)

Wychodź dziewczyno z izby,
Nie rób matuni cizby,
Dosyćeś jéj narobiła,
Kiedyś maluśką była,
Siadaj dziewczyno z nami,
Nie zalewaj się łzami,
Siadajże dziewcze, siadaj,
Ojcu, matce żalu zadaj,
Niech jéj się serce kraje,
Że cię młodo za mąż daje.

JEDEN Z DRUŻBÓW.

śpiewka.

Dzen, dzen, dzen podkoweczko,
Pocałuj mnie kochaneczko,
Jak twój uśmiech jest miluchny,
Jak twój całus jest słodziuchny,
Dzen, dzen, dzen, podkóweczko,
Pocałuj mnie kochaneczko,
Alboż to ja nie chłopczyna,
Albożeś ty nie dziewczyna,
Od miłości nikt nie stroni;
Któż nam kochać się zabroni.

DRUCHNY.

Ej nie całuj broń cię Boże,
Całus zaszkodzić ci może.

DRUŻBA.

Dzen, dzen, dzen, podkóweczko,
Pocałuj mnie kochaneczko,
Gdy pojadę do miasteczka,
Będzie pierścień i wstążeczka.

I gorsecik sznurowany,
I fartuszek dla kochanéj.
Każdy ci pierwszeństwo przyzna.

DRUCHNY.

Ej nie całuj bo trucizna:
(*Drużbowie prowadzą pannę młodę i Edwina do matki*)

(*Spiewka.*)

(*Dosłownie wypisana z gminnej wjéjskiéj*)

Błogosław matuleńko,
To twoje dzieciuleńko,
Błogosław oboje,
Dzieciąteczka twoje.

DRUCHNY.

(*Spiewka naśladowana z gminnéj.*)

Już cię żegnamy dziewczyno,
Nie będziesz z nami igrała,
Ani kwiateczków zbierała.
Z dziewczyneczkami, drużyną,
Zapłacze ruta, rumianek,

Różyczka uschnie bez ciebie,
Lilja uschnie bez ciebie.
Dla ciebie wszystkiém kochanek,
I my będziemy płakały,
Ześmy się z tobą rozstały.

DRUŻBOWIE.

Czemuś nie wesoła,
Blada nie rumiana,
Jedziem do kościoła,
Poprosim plebana.
Pleban zwiąże ręce,
Chłopiec pocałuje,
Gdy znikną rumieńce,
Nikt nie podziwuje.

(*Wszyscy wychodzą i odjeżdżają.*)

Pojechali! pies zawył, nie zarzały konie,
Pojechali! kochanek na kochanki łonie,
Przyszłość go miło pieści, miłość mu się śmieje'
A łodkę jego życia kołyszą nadzieje.
Nadziejo! jakżeś miła, tyś ludzi osłoda,
Ty niebieskim balsamem goisz serca rany,
Nadziejo! w tobie jednéj wyobraźnia młoda,
Widzi smutny grobowiec kwiateczkiem ubrany.
Nadziejo! -- nie Edgarze, rozśmiej się z nadziei,

Ach, ja nią tylko żyłem a dziś się z niéj smieję,
Bo kto w życiu rozlicznych doświadczał kolei,
Ten za dziecka marzenie uważa nadzieję.
A przecie Edgar jadąc miło marzy,
Kochanka w sercu, miłość w jego duszy
Jedzie, wiatr liśćmi w gaiku poruszy,
I kwiatek szczęścia spędzi z jego twarzy.
I szepnie jemu do ucha,
„Chłopcze powróć" — Edgar slucha,
Staje, myśli, na los żali,
I znów wesół jedzie daléj,
I znowu nic go nie smuci,
Jedzie i wesoło nuci.

(*Spiewka*)

--Dziewczyno, dziewczyno,
Po co łzy twe płyną,
Kochanek przybędzie,
I kochać cię będzie.--
— Oj! oj! nie przybędzia,
Kochać mnie nie będzie,
Może już nie żywy,
Lub dla innéj tkliwy,
— Dziewczyno, dziewczyno,
Po co łzy twe płyną.
Kochanek przybędzie,

I kochać cię będzie.
— Dziewczyna spojrzała,
Rzewnie zapłakała,
Kochanek powróci,
I czegóż się smuci?
Kochanek nie wrócił,
Dziewczynę zasmucił,
Dziewczyna łzy roni,
On nie wraca do niéj.
Po łączce zielonéj,
Strumyk rączy ścieka,
Z dala konik wrony,
I jeździec z daleka,
Jeździec sobie śpiewa,
Koń wpodkowy dzwoni,
Dziewczyna szczęśliwa,
Jasio wraca do niéj.
Pędzi konik śmiały,
I cwałem i kłusa,
Jasio wrócił stały,
I dostał całusa.

Edgar nucił wesoło — wietrzyk smutno dmu-
(chał,
Smutne śpiewy słowików rozczuliły gaje,

Po dolinach ponuro jęczały ruczaje,
Edgar pędził i pędził, nie patrzył, nie słuchał.
Droga szła kręto, krzyż stoi przy drodze,
Drzewo tu płacze, kwiatek nie wesoły,
Podróżny oprzeć się nie może trwodze,
I Edgar pobladł — to są ślubne doły,
Jakby grobowce sterczą małe wzgórki,
A wzgórki trawka zielona okrywa.
Ktokolwiek tędy z podróżnych przebywa,
Za dusze zmarłe odmawia paciorki.
Mówią, że kiedy noc nadejdzie głucha,
Na niebie błyśnie blada twarz księżyca,
Na tych grobowcach widywano ducha,
Oczy zapadłe i pobladłe lica,
Duch się ten snuje, lub z miejsca nie rusza,
Straszy przechodnich, lub nie mówi słowa,
Edgarze! blada przesunęła dusza,
I czarna chmura twarz księżyca chowa,
Edgarze! Edgar zbladł i zadrżał cały,
I serce mocno bić zaczęło w łonie,
Gdy wtém się wrzaski z daleka ozwały,
Śpiewano pieśni — rżały rącze konie,
I dziewcząt dosyć i chłopaków wiele,
Ten gra, ten krzyczy, ten na konie woła,

Cóż to jest? ach, to dziewczyny wesele,
Wraca z kościoła.
Tak jak jaśnieje wśród gwiazd twarz księżyca,
Gdy niebo w wieczór piersi swe odsłoni,
Tak pośród dziewic jaśniała dziewica,
A jéj kochanek koło niéj.
Jak słońce, kiedy promienie różane,
Kąpie w wód czystych kryształe,
Tak jéj twarz ładna, tak piękne rumiane,
Perłowe ustek korale.
Szesnaście latek — dziewczyna zbyt młoda,
Piękności zajrzą anieli,
A jéj kochanek?...dziewczę ciebie szkoda,
Ach szkoda wszyscy krzyknęli,
Po co ta litość? kamień mchem odziany,
Niebo się jasne zachmurza,
Chmura grom ciska, wyją uragany,
Burza i burza i burza,
Deszcz potokami drzew czoła obmywa,
Obrosły mchem już z starości,
Pod gołém niebem martwy głaz spoczywa,
Lituj się — wszak wart litości,
Piękne są usta, ach urocze lica,
Zdobi je kwiatów królowa,
Z rajskiego świata zstąpiła dziewica,
Jéj serce? o niém ni słowa,

Tak, tak, dziewczyna z kochankiem wesoła,
Roskoszy liczy godziny,
Edgarze, nie znasz czasem téj dziewczyny?
Edgar ponuro spoglądał do koła,
To ona...szepnął, pierś wydała jęki;
Jak wicher kiedy w pieczary się wciska,
To ona, ona, poznaję ją z bliska.
Jéj to są oczy, jéj to boskie wdzięki,
Cóż to ma znaczyć? w domysłach się gubię,
Ona zamężna? wszak to ślubny wieniec,
Tak, tak krzyknęli wszyscy, już po ślubie,
Po ślubie!.. głucho powtórzył młodzieniec,
Więc już wszystko stracone — nie mam żyć dla (kogo,
Wyjęknął — na dziewczyny twarzy zbladł ru- (mieniec,
I wszyscy daléj pojechali drogą.

* * *

Niebo noc blada powleka,
Świst wiatru nawet huk piorunów głuszy,
Edgarze!..z twarzy podobny do człeka,
Ale niestety! — bez duszy,
Nazajutrz starzec pustelnikiem zwany,
Gdy ptak powitał poranek,

Tam kędy sterczą dwa smutne kurhany,
Trzeci usypał kurhanek.
Długo łzy ronił, lecz smutek przemija,
Wietrzyk unosi rozpacze,
Dziś na kurhankach wyrasta lilija,
Ale nikt przy nich nie płacze.

Józef Łopaciński.

NAGRODA SKOKU.

W jedném z przyjemnych miejsc staréj Wirginji, mieszkał w roku 1769 starzec którego córka jednogłośnie uznaną została za najpiękniejszą dziewicę całéj okolicy. Starzec ten w czasach swojéj młodości, odznaczał się siłą ciała i zręcznością i nosił jeszcze trzy medale, które wówczas jako zwycięzca w igrzyskach otrzymał. Córka jego miała właśnie lat ośmnaście, i tylu tak-

że wielbicieli, którzy się o jéj rękę ubiegali, a z których jeden pokładał nadzieje w swoim majątku, drugi w przyjemnéj powierzchowności, inni w innych korzyściach, jakie im los lub urodzenie nadawało; ale wszyscy otrzymywali od starego odmówną odpowiedź, tak, że w końcu opór jego i dziwactwo pod tym względem, poszło w przysłowie.

Nakoniec nadszedł dziewiętnasty dzień urodzin powabnéj Anetty, która równie była skromną i miłą jak piękną. Zrana dnia tego, zaprosił ojciec jéj wszystką młodzież z okolicy, na wesołą zabawę przy zbiorze siana. Siedemnastu przybyło przystojnych i raźnych młodzieńców, równie ochoczych do udziału w pracy jak i wzabawie, liczących nadto, na korzyść zobaczenia Anetty.

Wciągu dwudziestu czterech godzin, siano zgromadzone było w stogach starego, a miłość w sercach młodych robotników. Z rozkazu ojca, Anetta przyniosła dobrą żytnią wódkę i rozdawała ją własną ręką zakochanym pasterzom.

„No moi chłopcy, rzekł sędziwy posiadacz nadobnego skarbu, do którego wszyscy wzdychali, — Kiedy przy chłodzie wieczornym, wszyscy zebrali się przed jego drzwiami, wsparci na wi-

dlach i grabiach. — Prawie wszyscy oświadczeliście się o rękę mojéj córki; wiem że się nie pytacie o majątek, urodzenie albo wychowanie jestem równy pod temi względami z którym bądź w okolicy. Wiecie dobrze, a przynajmniéj musieliście słyszéć że za młodych lat moich, przewyższałem wszystkich rówienników moich w całéj Wirginji, zręcznością i siłą w skoku. Wygrałem moją żonę zwyciężywszy najpiękniejszego młodzieńca na wschodnich brzegach, i przyrzekłem sam sobie, że ten tylko rękę Anetty otrzyma, kto wszystkich ubiegających się o jéj rękę w skoku zwycięży. Rozumiecie mię, moi mili? Oto szranki i oto nagroda, — dodał biorąc za rękę Anettę, która zawstydzona za nim stała. Kto na równém polu najdłuższą odległość przeskoczy, ten dziś jeszcze zostanie mężem Anetty.

Z radością przyjęła młodzież to dziwne postanowienie; nie jeden postępując ku miejscu igrzysk, rzucił spojrzenie zwycięzkie na zachwycającą nagrodę. Dziewczęta porzuciły kądziel, dzieci zaprzestały hałaśliwych igraszek, starzy powstali z wygodnych krzeseł i pokładli długie fajki a wszyscy spieszyli zobaczyć piękne igrzyskę i okrzykami nagrodzić zwycięzcę. Wszyscy prze-

powiadali, a wielu życzyło tego z serca żeby młody Carroll zwyciężył. Był to najweselszy i najprzyjemniejszy młodzieniec w całéj okolicy, a dla wielu nie było to tajemnicą, że pomiędzy nim i piękną Anettą istniał czuły związek uczuć. Carroll miał sławę najlepszego skoczka, a w kraju gdzie podobna zręczność w ćwiczeniach ciała, do niezbędnych przymiotów mężczyzny należy, było to nie pospolitym zaszczytem. W tém igrzysku zatém, Carroll ze wszech względów miał wyższość nad swemi rywalami.

Szranki gdzie ubiegający się o rękę Anetty mieli okazać swoję zręczność, była to przestrzeń równa w pośród wioski, przed austerją, na równinie nazwanéj „łąką" (green). Przez ciągłe tego rodzaju ćwiczenia, trawa w tém miejscu zupełnie była wydeptana, i zamiast niéj powstała twarda piaskowa powierzchnia, stosowniejsza do tego celu.

Sędziami którzy mieli stanowić o zręczności współubiegających się, byli: Ojciec Anetty i trzéj sędziwi mieszkańce téj wioski. Anetta błyszczała radością; bo wiedziała kto zasłuży na nagrodę. Carroll doświadczył tymczasowo sił swoich i przeskoczył 21 stóp i cal jeden. Dano

znak i zapaśnicy zaczęli występować koleją którą los wyznaczył.

— Edward Grayson! 17 stóp, zawołał jeden z sędziów. Uczynił wszystko co było w jego mocy — Edward, był to uczeń rozsądny ale blady i słabowity; nauka nie mogła mu się na nic przydać w tym razie? Nie spojrzawszy na Anettę oddalił się.

— Dick Boulden 19 stóp!—Dick odszedł śmiejąc się i wdział na powrót swój surdut.

— Harry Preston, 19 stóp i trzy cale.

— Dzielnie! zawołali widzowie, Harry uśmiechnął się także i zapewnił że tylko dla żartu skakał. Harry był to trzpiot, nie myślał on wprawdzie na serjo o ożenieniu się, ale lubił bawić się i żartować z Anettą. Skakał on „tylko dla żartu,“ ale nie byłby tak powiedział, gdyby był pewnym zwycięztwa.

— Charlej Simons, piętnaście i pół stopy.

— Brawo Charlej, on pewno wygra! zawołał tłum wesoły. Charlej był to bardzo ładny chłopak; matka jego radziła mu żeby pozostał w domu, wmawiając mu, że jak będzie szukał

żony, to potrafi się z swojéj postaci prędzéj niż z siły wskakaniu podobać; Charlej jednak i tę ostatnię na próbę wystawił i przegrał.

Wielu niechciało już wcale doświadczać nóg swoich, inni próbowali jeszcze szczęścia; jeden tylko przeskoczył stóp dwadzieścia.

— Teraz idzie koléj na Henryka Carroll, zawołali wieśniacy, on im wszystkim pokaże, jak to się skacze! Każdy zdawał się myśléć o miłości Anetty dla Henryka i życzył mu szczęśliwego wypadku.

Pewnym krokiem poszedł Henryk na przeznaczone miejsce, oko jego spojrzało po sąsiadach, szukając czy nie ma niebezpiecznego współzawodnika.

— Dwadzieścia jeden stóp i pół! zawołał tłum, powtarzając wykrzyknienie jednego z sędziów. Niech żyje Henryk Carroll! Aneta i Henryk! Czapki i chustki poleciały w górę, a oczy Anety iskrzały radością i roskoszą.

Właśnie kiedy Henryk postąpił na plac dla otrzymania nagrody, młody jakiś człowiek w prostym wojskowym fraku, zatrzymał się przed oberżą, zsiadł z konia i niepostrzeżony wmieszał

się między tłumy widzów. Nagle postąpił na przód i zmierzył uważnie okiem znawcy przestrzeń przeskoczoną przez ostatniego zapaśnika. Był to jakiś obcy, nieznany mieszkańcom wioski. Jego piękne rysy twarzy i kształtne ułożenie, zwróciły nań spojrzenia dziewcząt, a męzka budowa, w któréj siła z wdziękiem stosownie wydawała się połączoną, obudzały podziwienie mężczyzn.

— Może panie podróżny, potrafisz pan więcéj przeskoczyć, odezwał się jeden z blisko stojących, którego zadziwiła uwaga z jaką obcy mierzył okiem szranki. Jeśli więcéj przeszkoczysz jak Henryk Carroll, to zwyciężysz najdzielniejszego młodzieńca w całéj osadzie." — Prawdę tego twierdzenia potwierdził szmer ogólny,

— Czy to tylko jest zabawa, zapytał młody nieznajomy, czy też jest przeznaczona jaka nagroda dla zwycięzcy?

— Anetta, najpiękniejsza i najbogatsza z naszych dziewic, jest nagrodą zwycięzcy, zawołał jeden z sędziów. Każdy może się wpisać jako ubiegający się o nią.

— Tak jest młodzieńcze, każdy, dodał ojciec Anetty, w którym obudził się ogień młodzieńczych wspomnień na widok atletycznéj budowy

ciała obcego. Jest ona narzeczoną tego, kto zwycięży w skoku Henryka Carroll, jeśli chcesz doświadczyć twojéj zręczności, oto są szranki. Tu oto jest moja córka, spojrzyj na nią, i osądź czy warto kusić się o taką nagrodę.

Oficer z podziwieniem patrzył na zachwycającą dziewicę, która miała być ofiarą nieugiętéj fantazji ojca. Biedne dziecię, patrzyła za Henrykiem, który z wyrazem trwożnéj niespokojności stał nie daleko, spoglądając błagalnym wzrokiem na nowego współzawodnika.

Ten oddał swą suknię jednemu z sędziów, silniéj ścisnął szarfę którą nosił pod mundurem, postąpił na równinę, i bez wysilenia wykonał skok który miał stanowić szczęście lub nieszczęście Anetty i Henryka.

— Dwadzieścia dwie stóp i cal jeden! zawołał sędzia. To wykrzyknienie zostało przyjęte powtórzone przez widzów z zadziwieniem. Wszyscy cisnęli się około nieznajomego, wyrażając swoje powinszowania, do których jednak mieszały się szmery tych, którzy pragnęli żywo szczęścia dwojga kochanków.

Stary ojciec Anetty przystąpił do niego i ujął przyjaźnie jego rękę, nazwał go swoim synem; i rzekł, że więcéj jest dumny z takiego zięcia, niż gdyby nim był najbogatszy pan z okolicy; bo siła i zręczność ciała, są dla starego skoczka najważniejszemi prawami do zaszczytu.

Zwycięzca wziąwszy na powrót suknię, szukał spojrzeniem pięknéj nagrody, którą nieznany i nie wymieniwszy nazwiska, tak pięknie zasłużył. Opierała się ona blada, zmieniona, na ramieniu swego ojca.

Jéj ulubiony stał zdaleka, smutny, śmiertelnie zmartwiony, dziwiąc się zręczności nieznajomego, w któréj sądził, że nikt mu nie wyrówna, i razem nienawidząc go za jego szczęście.

— Anetto, moja piękna branko, rzekł nieznajomy biorąc jéj lekko drżącą rękę, wszak cię sprawiedliwie wygrałem.

Usta Anetty były bledsze niż marmur, drżała jak listek osiny i cisnęła się bliżej do swego ojca, a jéj łzawe oko upatrywała postaci kochanka. Henryk ponuro brwi zmarszczył.

Nieznajomy mówił daléj: — „Wygrałem cię piękny kwiatku, aby cię przed ołtarz zaprowa-

dzić, — nie drżyj tak okropnie ja nie mówię że ze mną, jakkolwiek dumnym byłbym gdybym mógł taką perłę na sercu nosić. Może, i powiódł badawcze oko w koło, a lice Anetty zarumieniły się znowu, i szmer zadziwienia rozszedł się w tłumie; — może pomiędzy zapaśnikami jest jaki szczęśliwy młodzieniec, który więcéj może praw rościć do tego klejnotu. — Młodzieńcze! mówił daléj, obróciwszy się do zdziwionego Henryka, zdaje mi się, że ty byłeś zwycięzcą przede mną. Wystąpiłem w zapas nie dla wygrania tego dziecięcia, chociaż niepodobna ubiegać się o piękniejszą nagrodę, skakałem jedynie, z upodobania w męzkich ćwiczeniach któremi was widziałem bawiących się. Ty jesteś zwycięzcą, i z pozwoleniem szanownego zgromadzenia, przyjmij nagrodę na którą słusznie zasługujesz.

Młodzieniec przyskoczył i schwycił z gwałtownością wdzięczności rękę oficera, a po chwili, Anetta płakała z radości w jego objęciach. Powietrze zadrżało od okrzyków uwielbienia i radości mieszkańców wioski. W pośród zamięszania, młody oficer usunął się z tłumu, wsiadł na konia, i w galopie odjechał.

Henryk i Anetta tego samego dnia jeszcze zostali połączeni, a zdrowie tajemniczego nieznajomego, spełniane było ochoczo przez radośnych biesiadników.

Lata przemijały, szczęśliwi małżonkowie cieszyli się już liczném potomstwem, a Henryk Carroll został pułkownikiem w wojsku amerykańskiém.

Pewnego wieczora po długiéj wyprawie wróciwszy do domu, siedział on wpośród swojéj rodziny, pod wystawą przyjemnego domku wiejskiego, kiedy nadjechał szybko posłaniec, donoszący o przybyciu jenerała Washingtona z świtą, oświadczając, iż jenerał prosi o gościnność na tę noc. Natychmiast wydano stosowne rozporządzenia względem potrzebnych przygotowań pułkownik kazał osiodłać konia i wyjechał na spotkanie gościa którego nigdy jeszcze nie widział chociaż służył w tych samych szeregach.

Przez cały wieczór, Anetta, która teraz była powszechnie uwielbianą zawsze zachwycającą mistriss Carroll, nie odwróciła oczy od wsławionego gościa; co chwila rzucała ukradkowe spojrzenie na jego nakazujące majestatyczne ry-

sy i w pół wątpliwa w pół pewna, odwracała głowę i znowu nań spoglądała. Jéj pomięszanie i nieprzytomność umysłu, stały się nakoniec tak widocznemi, iż mąż jéj zapytał nakoniec z niespokojnością, czy nie jest słabą.

— Zdaje mi się pułkowniku, rzekł obcy, który już oddawna z uśmiechem uważał ciekawe i zdziwione przyglądanie się lady, — iż Mistriss Carroll, przypomina sobie we mnie starą znajomość i spoglądając na przemian na pułkownika i Anettę, uśmiechał się tajemniczo. Pułkownik zamyślił się, i jakieś pomięszane wspomnienie przeszłości zdawało się odzywać w jego głowie, a Anetta z wpół otwartemi ustami i błędnym wzrokiem patrzyła na jenerała.

Przebacz mi piękna gospodyni, pozwól pułkowniku! muszę koniec położyć waszéj niepewności. Powietrze obozu i trudy wojenne uczyniły mię za ciężkim, abym raz jeszcze mógł przeskoczyć 22 stóp i jeden cal; dziś nie byłbym wstanie uczynić tego, choćby dla zyskania tak pięknéj nagrody jak ta, o którą współubiegaliśmy się kiedyś.

Podziwienie i ukontentowanie jakie po tych słowach nastąpiły, nie potrzebują opisu.

Jenerał Washington był tym pięknym i zręcznym skoczkiem, którego tajemnicze zjawienie się i zniknienie, w rodzinném miejscu kochanków, dotąd utrzymuje się jak powieść w ustach ludu; przez kilkanaście lat opowiadający nie byli pewnemi, czy nieznajomy składał się z ciała i kości aż nakoniec w domku wiejskim pułkownika, zagadką została rozwiązaną.

ZBIEG Z BHOPAL.

(*Powieść wschodnia.*)

Była to jedna z tych wspaniałych nocy, które w Indjach tak są pospolite, że rzadko który krajowiec, dla którego to zwykłym jest widokiem, zatrzyma się w pośród swietności nocnéj firmamentu, aby mu się przypatrzyć. Ciemno-błękitne niebo, było tak gęsto wielkiemi, błyszczącemi gwiazdami posiane, że chociaż księżyc nie był widzialnym, można było jednak odległe nawet przedmioty wyraźnie rozróżniać. Krajowid miał

cechę melancholicznéj piękności, i oczy które nań pierwszy raz patrzyły, chociażby przyzwyczajone do scen zniszczenia, czuły przepełnienie łez spojrzawszy na szeroko rozrzucone zwaliska dawnego Delhi. Ani jedno światełko nie zabłysło z olbrzymich budowli które się z pośrodka zwalisk wznosiły, a które aż nadto wyraźnie głosiły upadek niegdyś tak wspaniałéj stolicy. Tu i owdzie gruppa drzew ocieniającą jaki nagrobek, tworzyła swoją świeżą zielonością, uderzającą sprzeczność z gruzami w koło, i rozszerzała pewien rodzaj smętnéj piękności, na ten obraz zamięszania. Młodzieniec który teraz w pośród cichéj nocy dosiągł tego miejsca, tak miłego mu z saméj powieści, co niegdyś dziecięce jego ucho zachwycała, był, jak jego imię zapowiadało, rodem Mogoł. Mirza Ahmed Izmael Bey, nie posiadający teraz żadnego dziedzictwa, oprócz szlachetnego rodu który przodkowie jego od Ihs, (Ezaua) syna patryarchy Is'hak (Izaaka) wywodzili, szukał schronienia na miejscu, z którego wygnało ich prześladowanie, i nie poprzestając na wydarciu im władzy w Delhi, zmusiło ich do szukania szczęscia w innych stronach świata. W pełném ruchu, życiu azjatyckim, podobne nagłe zmiany nie rzadkie były, bo bardzo często, ro-

dzina która się znajdowała na szczycie bogactw i sławy, albo obudziła nienawiść mocnych, albo chciwość jakiego naczelnika rabusiów, i wtedy spadała z wysokości bogactw i pomyślności, do największego ubóstwa, szczęśliwa jeśli chociaż życie zdołała unieść.

Taki był przypadek z przodkami Mirzy, którzy przez buntowników wygnani z Delhi, i z trudnością uszedłszy śmierci, weszli w służbę jednego niezawisłego naczelnika, który panował w Bhopal, a ostatnim szczepem tego upadłego pokolenia, jest ten o którym mówiemy. Chociaż to do obcego kraju przeniesiona rodzina, doszła znów do znaczenia i majątku, nigdy jednak nie zgasła w niej pamięć dawnéj wielkości i wpływu jaki przodkowie naszego bohatera, wywierali w Delhi. Roczniki ich sławy przechowywały się ustnie z ojca na syna, a kobiety z Zenana, bawiły swe dzieci opowiadaniem wojennych wypadków dawno upłynionego czasu. Czuli się jednak szczęśliwemi w obraném miejscu, co dzień stawali się więcéj zpokrewnionemi z obcą ziemią, i ani pomyśleli o opuszczeniu miejsca które tak wielu z ich pokolenia opiekę udzieliło, tak, iż nakonice uważali je za rodzinną ziemię. Mirzy Ahmeda ojciec powiększył przez swoją

waleczność odebrane po przodkach skarby, w wojnie, którą jego naczelnik ośmielił się rozpocząć z połączonemi siłami pokolenią Serndiah, i Radszacha Nakpur, i któréj szczęśliwe zakończenie, było prawie zupełnie dziełem męztwa ojca naszego Mirzy Achmeda. Usługi świadczone w boju nie zasłoniły go jednakże, bo bogactwa jego uczyniły go pożądaną ofiarą. Możeby, pomimo zawiści Naboba, względem człowieka którego sława ćmiła jego wielkość i pomimo skarbów które mu tak potrzebne były, aby jego kassy wypróżnione długą wojną z dwoma nieprzyjaciołami, napełnić, możeby rodzina Mirzy uszła grożącego jéj niebezpieczeństwa, gdyby nie posiadała nadzwyczajnie pięknéj córki. Sława wdzięków Jzzet Hulasi, brzmiała w całym Bhopalu, i posłaniec Naboba, który ją widział, opowiadaniem jéj powabów zapalił w swoim panu chęć posiadania takiego klejnotu, do tego stopnia, że natychmiast posłał go do rodziców z przełożeniem w tym względzie. Ale piękna Jzzet Hulasi była już zaręczoną, od dzieciństwa wychowała się razem z swoim narzeczonym i najtkliwsza miłość łączyła ją z nim od dawna; astrologowie przepowiedzieli wielkie szczęście mające spłynąć na całą rodzinę z tego związku, wszystko było przygotowane do dopełnienia obrzędu zaślubin dwojga kochanków. Rodzina narzeczonéj odrzuciła stanowczo żądanie Naboba, który chciał mieć piękną Jzzet jako faworytkę w swoim seraju. Nie przeczuwając jakie nieszczęście sprowadzić mo-

że ta odmowa, nie przygotowali się do obrony, i padli w pośród ciemnéj nocy, ofiarą zemsty silnego nieprzyjaciela. Ojcu rozkazano stanąć przed zagniewanym zwierzchnikiem, a gdy się to uczynić wzbraniał, został na miejscu zamordowany. Silna straż otoczyła dom cały, a matka nadobnéj Izzet nie widząc nadziei ratunku, sama sobie życie wydarła, aby nie przeżyć hańby swojéj rodziny.

Mirza Ahmed, zabiwszy dwóch z żołnierzy Naboba, byłby niewątpliwie porąbany przez liczne hordy, gdyby nie szczęśliwie w porę nadeszła pomoc służących jego ojca; ujrzawszy oni że wszystko stracone, zapragnęli przynajmniej, dziedzica, jedyną nadzieję domu ocalić; w tym celu zrzucili mnóstwo ciężkich przedmiotów z ganku na otaczających dom żołnierzy, i korzystając z powstałego ztąd zamięszania, wciągnęli swego młodego pana do domu, zatarasowali drzwi i przez ukryte wyjście uprowadzili go w bezpieczne miejsce. Młodzieniec nie łatwo byłby się dał skłonić do ucieczki z Bhopal, ale mu powiedziano, że siostra jego nie chcąc popaść w ręce Naboba, połknęła truciznę którą nosiła przy sobie, tym sposobem nie mając już nic co by go do tego miejsca wiązało, Mirza postanowił udać się do Delhi, dokąd pociągały go słyszane w dzieciństwie jeszcze opowiadania o potędze i bogactwie, jakie posiadali przodkowie jego w mieście które teraz obok swojéj młodej ry-

wałki, Nowego Delhi, albo jak go krajowcy nazywają Schahdschehanabab, opustoszałe stało.

Po długiéj podróży, zaskoczyła go noc nim jeszcze doszedł do celu; ale noc tak piękna, że przywykły wierzyć w przepowiednie, sądząc po oświecających drogę jego swietnych gwiazdach, szczęśliwą zaczął sobie tuszyć przyszłość i chociaż strudzony i głodny, patrząc na piękny wokoło krajowid, zapomniał o swojém przykrém położeniu.

Prawie zupełnie pozbawiony pieniędzy, postanowił pozostałe kilka sztuk monety zachować na potrzeby następnego dnia, i tylko snem pokrzepić siły wycieńczone całodziennym głodem. Spoglądając w około aby wynaleść najstosowniejsze do tego celu miejsce, i już postanowiwszy spocząć w pośród licznych mogił, pomyślał nagle, że podobne miejsca często bywają schronieniem złoczyńców, dla tego wolał raczéj mniéj wygodne, a bezpieczniéjsze wybrać schronienie. Szelest skrzydła gołębia który przestraszony jakimś łoskotem zerwał się i przeleciał nad głową Mirzy, ocucił go z zamyślenia w którém pogrążył się patrząc na okolicę dawniéj przez jego przodków zamieszkałą, i mechanicznie młody wędrowiec udał się za lotem ptaka pokoju, który go zaprowadził na dziedziniec jakiéjś budowli, która chociaż bardzo już zniszczona nie, rozwaliła się jeszcze. Gołąb usiadł nad bramą i to skłoniło Mirzę do sprobowania czy w tym budynku nie znalazłby schronienia. Nie

trudno było dostać się wewnątrz bo chociaż brama była zamkniętą, ale czas poczynił liczne otwory w murach. Wodotrysk płynął w pośród wielkiego czworoboku, do którego prowadziły drzwi nie źle jeszcze utrzymane, a rozlewająca się w około woda, poiła ziemię która mnóstwo drzew żywiła, a ich owoce głodnemu Ahmedowi przyjemny dały posiłek, oczyściwszy, się z pyłu przy źródle, wszedł na jedno piętro i szukał spoczynku przynajmniéj nie pod gołém niebem.

Słońce już było wysoko kiedy się Ahmed obudził; gołąb siedział jeszcze ciągle nad bramą, uważał on to za dobrą przepowiednią i postanowił przyswoić sobie tego ptaka, podzielając z nim szczupły obiad jaki spodziewał się dostać na najbliższym targu. Ponieważ to był czas żniw postanowił kupić znaczną ilość zboża aby sobie tym sposobem zapewnić wyżywienie na czas pobytu w tych zwaliskach. Nic nie przerwało snu jego przez noc całą, ten nowy dowód że miejsce to, nietylko wygodniejsze od innych pobliskich, ale zupełnie jest bezludne, powiększył jego zadowolenie. Nowy właściciel opustoszałego domu, nie wiedział czy i inne pobliskie budowle równie są bezludne. Ruin podobnych nie było widać dość daleko naokoło, czy pod rozsypanemi zupełnie budowlami których było mnóstwo na równinie, nie zamieszkują ludzie, to nie dało się na prędce rozstrzygnąć. Jeśliby tak było istotnie, mieszkańcy tych pod-ziemnych

kryjówek musieliby należeć do tych wyrzutków społeczeństwa, co ciemnością nocy pokrywają swe niecne czyny. Te uwagi skłoniły Ahmeda do użycia wszelkich środków, do ukrycia się przed wzrokiem sąsiadów, w czem wielką pomocą były mu stosy gruzu które jego kryjówkę otaczały. Trwożnym krokiem wyszedł z zwalisk, chcąc się udać do najbliższéj wioski; suknie swoje i kosztowne ozdoby które miał na sobie, w chwili ucieczki z Bhopal, przedał on w ciągu swojéj pielgrzymki, i tym sposobem, nie pozorne ubranie które w téj chwili nosił, broniło go od spojrzeń ciekawości i od chciwości rabusiów.

W téj pierwszéj wycieczce nie spotkało go nic godnego uwagi. Kupił zboże którego potrzebował na zasiew, i jak najspiesznéj wrócił, aby wziąść się do pracy. Wiele bardzo musiał pracować, bo nie tylko wypadało mu grunt uprawić, ale nadto aby pole swoje zabezpieczyć od zniszczenia przez przechodzące zwierzęta; musiał wszystkie otwory w murze, a nawet ten przez który sam przeszedł, zasłonić. Podbudzany myślą zabezpieczenia ile możności swego mieszkania, pracował z natężeniem i przezornością, starając się tak pozasłaniać otwory w murach, aby to zdawało się dziełem przypadku a nie ludzkiéj ręki. To zatrudnienie zostawiało Ahmedowi mało czasu do zwiedzenia okolicy, a ponieważ nie doznał żadnéj przeszkody, w swoich pracach, powziął w krótce zupełne przekonanie że przynajmniéj w bliskości nie ma żadnych sąsia-

dów. Ponieważ nie był jeszcze w Schahdschehanabab, pewnego dnia przeto ostróżnie przeszedłszy wnijście do swego mieszkania i zakrywszy je jak najstaranniéj, puścił się w drogę ku miastu. Zostawiwszy już daleko za sobą ruiny i doszedłszy do głównéj drogi ku miastu, spotkał trzodę koz z pasterzem, mijając ją dostrzegł, że jedna koza odłączyła się od reszty i że stos kamieni zakrywał ją przed oczami pasterza. Przy kamieniach stał człowiek który szybko schwycił zabłąkaną kozę i okrył ją płótnem turbana który zdjął a głowy. Oczy Ahmeda spotkały się w téj chwili z spojrzeniem złodzieja, a pierwszy uderzony szczególnym wyrazem twarzy rabusia osłupiał, i nie mógł się ruszyć jak gdyby przyrosł do ziemi. Uczuł on, że powinien schwytać złodzieja i zmusić go do oddania skradzionego zwierzęcia i smutne uczucie opanowało go na tę myśl, że milczenie jego uczyniło go współwinnym tej kradzieży. Nie bardzo zadowolony z tego wypadku, szedł daléj nasz pustelnik ku miastu, i obejrzawszy je ile to mógł czynić nie zwracając na siebie uwagi, wrócił na przedmieście leżące najbliżéj jego samotnego mieszkania, i usiadł pod drzewami na przeciwko małych drzwi, które zdawały się prowadzić do ogrodu jakiego bogatego szlachcica, którego dom zaraz stał obok. Podczas gdy w milczeniu patrzył na otaczające go przedmioty, otworzyły się ciężkie drzwi żelazem okute i okazała się lektyka, otoczona purpurowemi jedwabnemi firankami. W chwili gdy niosący niewolnicy przechodzili obok Ahmeda, lekki wietrzyk uchy-

lił nieco purpurową firankę, a młodzieniec w przelocie dostrzegł najpiękniejszą istotę jaką kiedykolwiek widział. Wdzięki nieznajoméj piękności, przewyższały nawet powaby jego siostry, któréj piękność pozbawiła go wszystkiego co mogło mieć jaką wartość w jego oczach. Wkrótce niewolnicy niosący nieznajomą zniknęli na zakręcie drogi, a Ahmed wstał i poszedł zwolna ku swemu mieszkaniu. Widok nieznajoméj piękności, nadał zupełnie nowy kierunek marzeniom Mirzy, i zamiast, jak przed chwilą, cieszyć się myślą samotnego życia w zaciszy, utrzymywanego pracą rąk, zapragnął konia i broni, aby wsłużbie jakiegobądź śmiałego naczelnika, zyskać bogactwo i sławę. Pogrążony w tych marzeniach doszedł do stosu kamieni koło którego z rana tego dnia przechodził, i ujrzał na nim siedzącego tego samego człowieka który ukradł kozę. Zrazu nie mógł się namyśléć czy obejść zdaleka czy nie, bo obawiał się żeby złodziéj ośmielony porannym wypadkiem, nie chciał zabrać z nim bliższéj znajomości. Jeszcze nie powziął postanowienia, kiedy głośny krzyk obudził go z zamysłów. Trzoda bawołów wpadła nagle na drogę i obaliła niewolników niosących znaną mu purpurową lektykę. Lektyka leżała na ziemi a niewolnicy stali w około przestraszeni. Ahmed dostrzegł, że kilku podejrzanie wyglądających ludzi wmięszało się między trzodę a pomiędzy niemi znalazł się i złodziéj kóz, pozornie niby spędzając bawoły, ale właściwie powiększając jeszcze zamięszanie. Uzbrojony silnym bambusem,

rzucił się Ahmed ku trzodzie, silnemi uderzeniami spędził ją z drogi, zostawiając wolne przejście stwożonym niewolnikom. Podejrzani ludzie znikli także, ale zabrawszy co któremu w ręce wpadło. Jeden z niewolników postradał turban, drugi szal, inny znowu pas, i kiedy zapomniawszy swojéj powinności głośno zaczęli złorzeczyć, młoda piękność wysiadła z lektyki i stanęła na drodze, wprawdzie z zasłoną, ale tak delikatną, że wdzięki jéj przebijały przez nią jak słońce przez lekką chmurkę wśród południa. I ona nie uszła rabunku, bo kosztowny klejnot został oderżnięty od jéj odzienia, ale dostrzegła ona, że tylko odwaga młodego nieznajomego ocaliła ją od większego jeszcze nieszczęścia. Z godnością i z pomięszaniem razem, jakie sprawiało jéj spotkanie nieznanego jéj człowieka, wyraziła Ahmedowi czułą wdzięczność, siadła znowu w lektykę i kazała niewolnikom aby ją do domu odnieśli, ponieważ nie miała chęci udać się daléj drogą, która nie zdawała się być bezpieczną. Ahmed Mirza którego strzała miłości głęboko zraniła, szedł za lektyką aż do drzwi z których widział ją wychodzącą, a potém obszedł w około budynek mierząc okiem wysokość murów. Nagle spotkał człowieka który od głów do stop okryty był czarnym płaszczem. Ponieważ już noc była, zdawało się, że niedobra myśl przywiodła w to miejsce tego człowieka, co tam bardziéj się potwierdziło, ponieważ zamierzył się sztyletem na

Ahmeda. Ale nasz młody pustelnik nie był tak łatwym do podejścia, w mgnieniu oka rozbroił napastnika i walkę która się z tego powodu rozpoczęła zakończył utopiwszy mu sztylet w piersiach. Nieznajomy upadł, i w téj chwili rozwiał się płaszcz którym był pokryty, i ukazała się pod nim kosztowna suknia która okazywała majętnego człowieka. Już czas było pomyśléć o odwrocie i Ahmed zawsze jeszcze z sztyletem w ręku, starał się jak mógł znaleść drogę do zwalisk. Ale po niejakim czasie szybkiego biegu, znalazł się znowu na tém samém miejscu drogi, gdzie lektyka została przewrócona. Stał przez chwilę na miejscu, wtém zabłysło mu coś na ziemi, schylił się i znalazł kosztowną braseletkę która musiała upaść pięknéj nieznajoméj, grającéj tak ważną rolę w przygodach dnia tego.

Doszedłszy bez żadnéj już przeszkody do swego mieszkania, rzucił się na posłanie, nie dlatego żeby usnąć, lecz aby raz jeszcze przebiedz myślą wypadki tego dnia awantur. Banda rabusiów, która napadła na lektykę, czyniła go niespokojnym, nie chciał bowiem aby jego pobyt został odkrytym i dlatego postanowił pozostać przez niejaki czas przynajmniéj w swojém ukryciu. Właśnie na wyższém piętrze znalazł skrytą celkę i w téj trawił znaczną część dnia patrząc na równinę która się rozszerzała z trzech stron budynku. Przeszedł czas niejaki, a on nic podejrzanego nie ujrzał; ale nakoniec, uważał że cała gromada kruków regularnie spuszczała się w jedno miejsce, i że mnóstwo sępów utrzymuje się w okolicy. To wprowadziło go na domysł,

że one tu obfitsze pożywienie znajdować muszą jak gdzieindziéj, i nie pozostała mu już prawie wątpliwość, gdzie ma swoje schronienie, banda któréj członek tak zręcznie umiał ukraść kozę. Pomimo stałego życzenia żeby go nikt nie zobaczył, nie mógł się Ahmed oprzeć pokusie odwiedzenia często przedmieścia i przyjrzenia się domowi w którym jego bóstwo mieszkało, ale nic odkryć nie mógł; codzień nową nadzieją ożywiony wychodził na przeszpiegi i w wieczór nieukontentowany wracał do swego mieszkania. Nie przepomniał on jednak zatrudnień domowych. Zboże jego dojrzałe, czekało żniwa i teraz szukał on bezpiecznego miejsca, gdzieby mógł schować owoce swéj pracy. Szukając w tym celu po różnych częściach budowli, natrafił na obszerną krytą szopę, która mu się bardzo stosowną na przeniesienie ziarna zdawała. Kiedy zaczął usuwać znajdujący się tam gruz, dostrzegł w podłodze kamieniem wyłożonéj, drzwi na wpół otwarte. Wschodami nadół prowadzącemi, wszedł do szeregu pokoi bardzo wygodnych, które bezwątpienia służyły niegdyś właścicielom za mieszkanie, wczasie panowania gorących wiatrów. Jeżeli drzwi w podłodze były ze środka przyciągnione, wtedy niepodobieństwem prawie było odkryć wejscie dotych pokoi, aże znajdowało się tam kilka sprzętów domowych dowodzących, że ta część gmachu nie dawno jeszcze była zamieszkaną, przeto Ahmed postanowił to bezpieczne schronienie zupełnie sobie przywłaszczyć. Kiedy już dopełnił zupełnego przeniesienia się w podziemie, na nowo zaczął być smutnym i nieszczęśliwym. Nie mając nic do czynienia w domu, chodził do

miasta, częścią aby się rozerwać, częścią zaś szukając przygody. Kiedy razu jednego, przechodził się bez celu po ulicach, uderzyła go znajoma twarz, któréj gdy się bliżéj przyjrzał, poznał w niéj tego człowieka z którym się spotkał pod murami mieszkania swéj bogini. Ile zdołał się Ahmed dowiedzić na rynku, człowiek ten pochodził z znakomitéj rodziny, ale powszechnie był pogardzony z powodu swego charakteru; mówiono że nie dawno wyzdrowiał z ran którą mu zadano mszcząc się za to iż pewnéj tancerce ukradł jéj brylanty. Chociaż nie bardzo pochlebiało to Ahmedowi, że uchodził za najemnego zbójcę, wtedy gdy się w nocy spotkał z nieznajomym pod murem mieszkania pięknéj nieznajoméj, cieszył się jednakże, że podejrzenie padło na fałszywą drogę. Zdawało się że Ali Sherif Miar (ów w mowie będący bogacz występny,) nie poznaje tego któremu winien ostatnią ranę, bo nie starał się o wiadomości względem Ahmeda. Wiadomości jakie Ahmed zebrał, nie pocieszały go wcale, albowiem zazdrość dawała mu przeczuć rywala w miłości dla pięknéj nieznajoméj, w młodym dziku, którego połechtał pod serce sztyletem pod murami mieszkania Khoadscha, Bubed Dihn, ojca młodéj damy, którą uratował z rąk zbójców.

Pewnego dnia będąc w mieście ujrzał wychodzącego z cukierni Sherifa Ali, i udał się zdaleka za śladem jego. Wkrótce ujrzał przyłączającą się do niego drugą osobę, w któréj z wielkiém swojém podziwieniem, poznał złodzieja kóz. Kilkunastu prawdobodobnie tego samego rodzaju ludzi, połączyło się z niemi, i wkrótce wszy-

scy zniknęli w ciasnéj i ciemnéj uliczce. Mirza zwrócił się zwolna ku swemu mieszkaniu. Przechodząc koło domu Khoadscha Buba-ed Dihn, zatrzymał się przez chwilę jak to zwykle czynił; wszystko było spokojnie, nie widać było nikogo, prócz podeszłéj kobiety, którą Ahmed oddawna już przechodząc uważał, i z którą teraz chciał uczynić znajomość, w nadziei że od niéj dowie się jakich bliższych szczegółów tyczących się pani jego uczuć. Stara, albo wstrzemięźliwsza jak inne kobiety, albo też nie spodziewając się wiele zysku od ubogiego Ahmeda, zdawała się nie mieć wcale ochoty do dłuższéj rozmowy, i po kilku słowach, niezbyt uprzejmie ją przerwała. Zadziwiony, cofnął się młody Mogoł, i nie zobaczywszy nic więcéj coby go zająć mogło, oddalił się i doszedł zwolna do miejsca w którém zwykle przemykał się do wnętrza swoich zwalisk. Jakieś ciemne przeczucie skłoniło go do zatrzymania się przez niejaki czas w tém miejscu, długo nie dało się widzieć nic żyjącego, wyjąwszy trzody szakali. Właśnie chciał Ahmed najkrótszą drogą pośpieszać ku swemu mieszkaniu, gdy wtém ujrzał zwyczajny wóz, ciągniony przez dwa woły i zatrzymał się czekając zbliżenia się ich. Księżyc w pełni świecił tak jasno, że zdaleka już można było dokładnie rozróżniać wszelkie przedmioty. Ahmed poznał w osobach które otaczały ten wóz, owych podejrzanych ludzi których uważał za swoich sąsiadów. Podejrzenie wkradło się w serce jego; postanowił przeto postępować przezornie aby przekonać się, czy ci ludzie istotnie mają coś złego na celu; mając bowiem tylko bambus i sztylet który mu pod czas ostat-

niéj przygody w ręku pozostał, nie mógł otwarcie rzucić się na kilku rabusiów. Czołgając się postępował ciągle za kierunkiem wozu, który nakoniec zatrzymał się istotnie w miejscu które Ahmed uważał za jaskinię łotrów, a ponieważ zwaliska okoliczne pozwalały młodzieńcowi dobrze się ukryć, mogł więc nie postrzeżony, uważać wszystko co się działo.

Sześciu ludzi było na wozie, jedni z nich znieśli z niego dobrze zakrytą kobietę a jeden szedł za niemi. Wszyscy zdawało się że znikli pod ziemią, ale wkrótce wrócili, i rozbiegli się w różnych kierunkach. Kiedy Ahmed sądził, że już dość daleko odeszli, wyszedł z swego ukrycia i zbliżył się do nory zbójców. Nie użyto jak się zdawało żadnéj przezorności w celu ukrycia wejścia do jaskini, z łatwością znałazł wschody w głąb prowadzące; i na dole przy blasku znajdującéj się tam lampy, ujrzał długą galerję na dwie strony wiodącą; po jednéj stronie kilka kobiet, między któremi rozpoznał znaną już starą z przedmieścia, zajmowało się przygotowaniem wieczerzy. Przedmiot którego szukał nie znajdował się między niemi, ale ciche łkanie poprowadziło go w przeciwną stronę ku drzwiom zamkniętym na rygiel. Kobiety rozprawiały na szczęście tak głośno, że nie słyszały odsunięcia ciężkiéj zasuwki. Ale słuch uwięzionéj był czulszy, szybko powstała, i gdy ujrzała przyjazne oblicze tego, którego niezdolną była zapomnieć, zaledwie zdołała na skinienie Ahmeda, powściągnąć krzyk podziwienia i radości. W mgnieniu oka została okrytą płaszczem Ahmeda, i już znajdowali się oboje na wschodach prowadzących z jaskini. Niebezpieczeństwo spotkania się z rabu-

siami było wielkie, ale na szczęście, nikogo nie widzieli. Ahmed z swoją piękną zdobyczą pobiegł ku rumom, i zaprowadził ją do swojego mieszkania, gdzie wszystko co miał najlepszego, ofiarował jéj na posilenie się po trwodze i niewygodnéj podróży. Mirza Ahmed nie śmiał pytać młodéj piękności, jakim sposobem po dwakroć już wpadła w ręce tych zbrodniarzy; ale Kamel Begum (to jest, prawdziwa królowa, bo to znaczyło jéj imie) odgadła życzenie jego serca i pospieszyła zadość mu uczynić. Opowiedziała ona swemu wybawcy, że z rodziną jednego z sąsiadów, ojcie jéj rozpoczął układy względem jéj zamęścia; dobroć jéj matki podała jéj sposobność zobaczenia przeznaczonego jéj narzeczonego który się jéj zupełnie nie podobał. Powierzyła ona swój wstręt Akilli, (tak się zwała stara od któréj Ahmed chciał się dowiedziéć szczegółów tyczących się pięknéj nieznajoméj) ale ta ciągle jéj tylko czyniła przełożenia ze strony Sherifa Ali, o którym Kamel Begum z powodu jego niecnego charakteru, nie chciała ani słyszéć. Była ona prawie przekonaną, że wypadek z lektyką na ulicy, w którym tak w porę przybył jéj Ahmed na pomoc, był ułożonym przez niegodziwego Ali i starą, abym ją w moc jego oddać. Ponieważ późniéj ciężko raniony został, miała więc przez niejaki czas spokojność ze strony jego, chociaż Akilla nie przestawała rozprawiać jéj o jego miłości. Nakoniec piękna Begum skłoniła się za namową staréj, udać się do jednego Dergah, dla złożenia pewnéj ofiary; ale kiedy pobożnie przed ołtarzem składała swe modły, została porwaną, obwiniętą w duży płaszcz i wsadzoną na wóz gdzie znalazła starą Akillę.

Wypadało namyśléć się co daléj trzeba uczynić. Kamel Begum oświadczyła, iż chce dzielić los swego wybawcy, i zdjąwszy kosztowne ozdoby które miała na sobie, podała mu je, prosząc aby je sprzedał i opatrzył się w to co im do życia najpotrzebniejszém będzie. Na drodze do miasta, nie na trafił na żadne przeszkody, nie ujrzał kruków na zwykłém ich miejscu, i wniósł ztąd, że rabusie strwożeni ucieczką swéj branki i obawiając się aby nie odkryto ich schronienia, przenieśli się w inną stronę. I staréj Akilli nie widział już przed domem ojca ulubionéj. Ale inne rozkoszne zadziwienie oczekiwało go jeszcze. Na ulicy, wracając już do domu, spotkał narzeczonego jego siostry; Rezza Ali skoczył z konia, uścisnął przyjaciela, i poprowadził go do domu swego, gdzie Ahmed, zaledwie zdolny wierzyć oczom swoim ujrzał swą siostrę, któréj śmierć już tak dawno opłakiwał. Izzet Hulasi istotnie zażyła pewnéj trucizny, która ją wprawiła w pozorną śmierć, i w ten sposób uniknęła rąk Nawaba, wierna jéj niewolnica ukryła ja następnie w bezpieczném miejscu, a potém połączyła z jéj narzeczonym, który zaciągnął się do szeregów innego naczelnika. Ahmed opowiedział z kolei swoje wypadki, a gdy wymienił nazwisko ojca swéj ulubionéj, Rezza Ali z najwyższą radością zapewnił go, że ten szanowny starzec, którego on przyjaźnią się zaszczyca, nie będzie się opierał połączeniu córki którą opłakuje z wojownikiem o którego szlachetnym rodzie i waleczności, lubi rozmawiać.

Nazajutrz w gronie dwóch przyjaznych rodzin, wesoło obchodzono połączenie Ahmeda, z najpiękniejszą dziewicą w Schahdschehanabab.

SPIS RZECZY.

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.

Półrocze drugie.

Koniec tomu czwartego.